



+Benedictus

Nr 115 (161)

Tyniec-Olsztyn-Warszawa

luty 2021

1 Kiedy zatem Benedykt porzuciwszy już studia postanowił udać się na pustkowie, towarzyszyła mu tylko jego piastunka, która go najtkliwiej kochała. Przybyli do miejscowości zwanej Effide, a skoro wielu czcigodnych mężów namawiało ich tam przyjaźnie do pozostania, zatrzymali się przy kościele św. Piotra. Piastunka Benedykta pożyczyła wówczas od sąsiadek przetak do przesiewania pszenicy i nieostrożnie zostawiła go na stole. Nieszczęśliwy przypadek sprawił, że stłukł się on i rozbił na dwa kawałki. Wkrótce wróciła piastunka, a zobaczywszy co się stało, zaczęła płakać pełna rozpacz, że oto stłukło się naczynie, które jej pożyczono.

2 Benedykt zaś, młody człowiek i pobożny, i dobry, nie mógł patrzeć spokojnie na rozpacz swej piastunki, tak bardzo jej współczuł. Zabrał więc oba kawałki przetaka i począł modlić się usilnie, ze łzami. Kiedy zaś powstał po modlitwie, znalazł obok siebie naczynie całe, tak że nie sposób było doszukać się nawet śladu pęknięcia. Czym prędzej więc pocieszył serdecznie piastunkę, oddając jej nienaruszony przetak, który poprzednio zabrał rozbity. W okolicy historia ta rozeszła się szeroko i zbudziła tak wielki podziw, że mieszkańcy wsi zawiesili ów przetak przy wejściu do kościoła, aby wszyscy wówczas, a także i w przyszłych pokoleniach wiedzieli, jak wielką doskonałość osiągnął młody Benedykt już na samym progu życia monastycznego. I przez wiele lat można było oglądać ten przetak, który wisiał nad drzwiami kościoła aż do najazdu Longobardów.

3 Benedykt pragnął jednak zakosztować raczej cierpień tego świata niż jego pochwał, wolał trudzić się, pracując dla Boga niż korzystać z przychylności losu. Uciekł więc potajemnie, pozostawiając swoją piastunkę i znalazł sobie na pustkowie miejscowość ustronną, którą nazywano Subiaco, mniej więcej czterdzieści mil odległą od Rzymu, bogatą w wody zimne i bardzo czyste. Wód jest tych taka obfitość, że gromadzą się najpierw w wielkim jeziorze, z którego wypływają następnie jako rzeka.

Dialogi Księga Druga, św. Grzegorz Wielki

PROŚBA O DAR BOJAŹNI BOŻEJ

Przyjdź Duchu Święty, Duchu miłości
i uszanowania!

Napełnij nasze serca świętą Bojaźnią.

Miłując ufnie dobroć Boga
nie traćmy z oczu Jego wielkości i majestatu.

Wołając „Abba – Ojciec” pamiętajmy zawsze,
że ten Ojciec jest Panem ponad wszystko.

Spraw, byśmy kochali Boga miłością posłuszną
i służebną, pełną czci i uwielbienia.

Wyzwól nas od przerażonej postawy niewolników,
bo jesteś Duchem przybrania za synów
i Duchem wolności,
ale wyzwól nas także od beztroski
i lekkomyślnego traktowania Boga,
kiedy się traci z oczu wielkość Bożej mocy.

Naucz nas zrównoważyć w kochającym sercu
miłość lgnącą do Boga
i święty lęk i bojaźń,
żeby Boga nie obrazić i nie utracić,
bo straszny i budzący grozę jest brak Boga!

Racz w nas zrównoważyć
miłość posłuszną i bojaźń,
która nigdy nie traci nadziei
w wielkim i miłosiernym Bogu –
prosimy Cię Duchu Święty.

POKORA – OTWARCIE NA PRZYJĘCIE PRAWDY
ŚP. O. WŁODZIMIERZ ZATORSKI
KONFERENCJA WYGŁOSZONA NA SPOTKANIU OBLATÓW
WARSZAWSKIEGO KLASZTORU SIÓSTR SAKRAMENTEK
W DNIU 26 LISTOPADA 2020 R.
I WARSZAWSKIEGO SPOTKANIA BENEDYKTYŃSKIEGO
W DNIU 28 LISTOPADA 2020 R.
OSTATNIEGO Z UDZIAŁEM OJCA

W ramach spotkań warszawskich wybrałem cykl konferencji wziętych z książki „Dziesięciokrąg”. W tym momencie przychodzi kolej na ósmy krąg – „W szkole pokory”.

Otóż Boga możemy poznać jedynie w pełni, w wymiarze egzystencjalnym w prawdzie. Natomiast prawdę w wymiarze egzystencjalnym możemy poznać tylko w pokorze. Dlatego, że ona obejmuje także całą tajemnicę naszej nieprawości, naszego grzechu, oddalenia się od Boga, zdrady, które ma swoje źródło w kłamstwie, które wyrosło z pychy. Stąd nauka pokory, tej postawy otwartości naprawdę w tym wymiarze egzystencjalnym, czyli wymiarze życia jest naszym najważniejszym wewnętrznym wysiłkiem w życiu duchowym. Pokora i skruca serca są najbardziej autentycznymi postawami wobec Boga, którego spotykamy. Jeżeli człowiek autentycznie spotyka Boga to jego prawdziwą reakcją jest właśnie skruca serca. To jest najprawdziwsza reakcja. Jeżeli ktoś prezentuje jakąś wyniosłość, to na pewno nie spotkał Boga prawdziwego.

W Katechizmie, w czwartej części mówiącej o modlitwie, na pierwszej stronie czytamy: „Pokora jest dyspozycją do darmowego przyjęcia daru”. Tam jest mowa o darze modlitwy, ale zasadniczo pokora jest dyspozycją do darmowego przyjęcia daru w ogóle. Daru, poczynając od daru naszego życia. Sami tego życia nie zdobyliśmy, nie wymyślili, nie zasłużyliśmy sobie na nie – nas nie było. Zostaliśmy swoim życiem i właściwie tym wszystkim, co w życiu najważniejsze, obdarowani. Nie tylko życiem, ale zdolnością, wolnością,

rozumem, zdolnością poznania, nawiązywania więzi z innymi. To wszystko są dary, które otrzymaliśmy od Boga za darmo.

Teraz, abyśmy umieli rzeczywiście z nich korzystać prawdziwie rozwijać musimy mieć w sobie tę dyspozycję do przyjęcia daru jako daru. I tylko w tym duchu przyjęcia daru, jako obdarowania, jako łaski możemy naprawdę wzrastać. Stąd z pokorą wiąże się wdzięczność. Wdzięczność, która jest odpowiedzią na świadomość bycia obdarowanym. Jeżeli nie ma w nas wdzięczności, a z wdzięczności potem wyrastającej radości, to jest to znak, że coś jest nie tak. Stąd między innymi św. Paweł, w Liście do Filipian mówi – radujcie się, radujcie się w Panu (zob. Flp 3,1).

Pokora jest zasadniczą postawą potrzebną w życiu chrześcijanina, gdyż bez niej nie możemy zbliżyć się do Chrystusa i przyjąć jego daru, daru zbawienia, pojednania z Bogiem i zbawienia. On sam mówi o sobie, że jest drogą, prawdą i życiem. Można by to wypowiedzieć, jest drogą w prawdzie, czy przez prawdę do życia, do pełni życia. To jest absolutnie fundamentalna sprawa w życiu chrześcijańskim.

Św. Benedykt poświęca pokorze najdłuższy rozdział Reguły, jest to siódmy rozdział, kończący część zajmującą się najważniejszymi, podstawowymi postawami w życiu monastycznym. On kończy tę część właśnie pokorą, która jest zwieńczeniem wszystkich cnót. Wcześniej o posłuszeństwie czytamy, że jest najszczytniejszym wyrazem pokory. Najprzedniejszym stopniem pokory – tak pisze św. Benedykt (zob. RB 5,1). Brak pokory sprawia, że każda cnota, każda wartość w naszym życiu nie osiąga swojej prawdy, nie jest autentycznie cnotą. To obejmuje także miłość. Miłość bez pokory w istocie nie jest miłością prawdziwą. Poza pokorą nie ma prawdziwego spotkania z Bogiem i prawdziwego osiągnięcia w życiu cnót, właściwej postawy.

Św. Benedykt w rozdziale o pokorze, rysuje ją jako pewną drogę. Przedstawia to w postaci drabiny, mówi że:

Dwoma bocznymi żerdziami tej drabiny są, jak sądzimy, nasze ciało i dusza, a wzywająca nas łaska Boża umieściła w nich różne szczeble pokory i karności zakonnej, po których do góry wstępujemy” (RB 7, 9).

Ale od razu św. Benedykt mówi o pewnym paradoksie, który polega na tym, że wchodząc do góry, schodzimy w dół, a schodząc w dół, wchodzimy do góry (zob. RB 7,5–7). Nie da się pokory przedstawić, w formie jakiegś wznoszącej się do góry drogi, drabiny, czy schodów, także nawet jakiegoś odcinka.

Tego się tak nie da zrobić, bo się wpada właśnie w jakiś, powiedziałbym, paradoks. Nie można pokory osiągać na zasadzie zdobywania, na zasadzie ambicji osiągnięcia i zdobywania jakichś stopni. Jeżelibyśmy tak robili, to już w samej tej ambicji nie ma pokory i to się wszystko załamuje.

Okazuje się, że z pokorą jest zupełnie inaczej. Ona ma w sobie takie podstawowe, fundamentalne zasady, wymiary jakiegoś, które muszą być nieustannie obecne i muszą rozwijać się w harmonii. Natomiast dynamika, schodzenia w dół, a przez to osiągnięcia szczytów jest zgodna z tym co się dokonało w Chrystusie, co bardzo pięknie św. Paweł napisał w Hymnie o Kenozie, z 2. rozdziału Listu do Filipian. Tam jest napisane, że:

On, istniejąc w postaci Bożej nie skorzystał ze sposobności, aby na równi być z Bogiem, lecz ogłosił samego siebie przyjmawszy postać sługi stawszy się podobny do ludzi. A w zewnętrznym przejawie był uznany za człowieka, unżył samego siebie i był posłuszny, aż do śmierci i to śmierci krzyżowej. Dlatego też Bóg Go nad wszystko wywyższył i darował mu imię ponad wszelkie imię, aby na imię Jezusa zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich i podziemnych. I aby każdy język wyznał, że Jezus Chrystus jest Panem – ku chwale Boga Ojca (Flp 2,6–11).

Ten hymn można narysować graficznie w postaci takiej paraboli: będąc w postaci Bożej – nieskończona wysokość – nie uznał tych piedestałów za coś, czego się trzeba trzymać, ale ogłosił samego siebie i przyjął postać sługi i stał się człowiekiem i w posłuszeństwie miłości unżył się, aż do śmierci na krzyżu – przeklęty kto zawisł na drzewie. Św. Paweł nawiązując do tych słów Księgi Powtórzonego Prawa mówi, że on się stał dla nas przekleństwem, aby nas z przekleństwa Prawa wyzwolić (zob. Gal 3,13–14). Nie ma większego dna niż bycie przeklętym przez Boga. Chrystus to, jako Żyd, przyjmuje, ale w imię miłości – *umilowawszy swoich na świecie, do końca ich umiłował* (J 13,1). I tutaj osiągamy ten dół paraboli – to jest krzyż – i dlatego Bóg go wywyższył i dał mu imię ponad wszelkie imię. Dlaczego? Dlatego, że w tym gościu jest absolutnie czysta miłość, bez żadnego elementu egoistycznego, egocentrycznego. Czyste absolutnie oddanie, dokładnie to czemu zaprzeczył, co zasugerował jako nieobecne, wąż w kuszeniu w Raju – *Na pewno nie umrzecie! Ale wie Bóg, że gdy spożyjecie owoc (...) tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło* (Rdz 3,4–5). Podważył w ten sposób wiarę w tę czystą, bezinteresowną miłość Boga do nas i człowiek kupił to – tę pokusę.

I teraz Jezus przez ten swój gest uniżenia w pokorze pokazał czystość miłości, miłości pokornej. Francis Varillon, który napisał książeczkę o pokorze Boga („Pokora Boga”) pisze w pewnym momencie, pewnie w kontekście francuskich egzystencjalistów, szczególnie Alberta Camus, który napisał książkę „Człowiek Zbuntowany”, budując taki etos prometejski – człowieka, który się buntuje wobec Boga i przynosi ludziom coś wspaniałego, wolność – jak Prometeusz przyniósł światło – i za to cierpi, że gdyby Bóg nie był pokorny, to taka postawa miałaby sens, ale wobec takiej pokornej miłości Boga to jest całkowicie bez sensu. To jest tylko świadectwo braku poznania tej miłości. Ale tutaj w tym hymnie jest istotne to, że On przez uniżenie aż do końca, do dna, osiągnął szczyt. Ten gest miłości absolutnie czystej, był gestem boskim, bo Bóg jest miłością, jak czytamy u św. Jana w 1. Liście.

Tutaj odnajdujemy właśnie tę dynamikę przedziwną, że przez uniżenie, całkowite uniżenie uzyskujemy podobieństwo do Boga, który w swojej miłości jest pokorny i tak jak św. Jan pisze, że Bóg jest miłością, możemy powiedzieć, że Bóg jest pokorą. I jak Jan pisze, że na tym polega miłość, że to On pierwszy nas umiłował i to jeszcze wtedy, gdy byliśmy grzesznikami, tak samo można powiedzieć o pokorze. Bóg jest pokorny, a nasza pokora może być tylko i wyłącznie odpowiedzią wobec Jego pokory. Zasadniczo staje się przede wszystkich skrucą serca – wyznaniem braku tej pokory wobec Niego, braku miłości.

Pan Jezus bardzo mocno w Ewangelii mówi *kto się wynyższa będzie poniżony, kto się poniża będzie wynyższony*. Tu jest obecna ta dynamika. To zdanie pada w różnych kontekstach, ale między innymi pada w kontekście przypowieści o Faryzeuszu i celniku w świątyni (Łk 18,9–14). Zobaczmy, ta przypowieść jest tak skonstruowana, że Jezus wybiera skrajne dwie postacie. Faryzeusz jest przykładem porządnego, religijnego, patriotycznego Żyda. Celnik, to był taki cwaniaczek, kombinator, kolaborant z okupantem, więc taka wstrętna postać w sensie społecznym dla Żydów – zdrajca, sprzedawczyk. Zresztą funkcjonował taki swoisty synonim, celnik równa się grzesznik. Teraz Pan Jezus stawiając te dwie postacie, pokazując ich modlitwę ukazał, że ten Faryzeusz, który się wykazuje znakomitą pobożnością, wypełnieniem Prawa, mało tego on robi więcej niż Prawo wymaga od niego, przez to, właśnie przez to, że się wynosi (Panie dzięki Ci, że nie jestem jak inni ludzie – jestem lepszy od nich – jak inni zdrajcy, oszuści, cudzołożnicy, albo jak ten celnik, dzięki Ci że jestem taki wspaniały), to jego modlitwa nie trafiła do Pana Boga w ogóle, to nie ten adresat. Celnik, ten lachudra, grzesznik bił się w pierś

i mówił „Boże miej litość nade mną grzesznikiem” i jego modlitwa trafiła do Boga, bo to był właściwy Adresat.

Kto się wywyższa, wynosi nad innych nie może dojść do Boga. Bóg jest pokorny i tylko w pokorze serca można do Niego dojść. Pokora jest drogą, bo jest jednocześnie drugą stroną miłości. Pokora jest absolutnym darem od Boga, jedynego pokornego i podobnie jak z miłością, nie możemy określić czym ona jest. Św. Paweł, który pisze piękny Hymn o Miłości (1 Kor, 13,1–13) mówiąc, że bez miłości nic nie ma żadnej wartości (i praktycznie to samo można powiedzieć o pokorze), potem nie określa tego czym jest, bo Bóg jest miłością. Ale daje nam znaki, po których można rozpoznać i to pozytywne, a jednocześnie to co miłość eliminuje, powoduje, że tego nie może być. Jeżeli jest miłość, to nie może być zawiści, zazdrości, złorzeczenia itp. To samo można powiedzieć o pokorze i św. Benedykt mówiąc o stopniach pokory pokazuje pewne wymiary, pewne obecne w pokorze prawdy, duchowe wartości. I po kolei te stopnie:

Pierwszy stopień to jest bojaźń Boża i związana z nią pamięć na stałą obecność Boga oraz ćwiczenie się w nieustannej straży serca. Czyli pilnowanie siebie, aby człowiek nie wpadł w zło.

Drugi stopień, wolność od światowych pożądań. Tych, które św. Jan w liście nazywa: „pożądliwość oczu, ciała i pycha tego żywota” (zob. 1 J 2,16n).

Trzeci, całkowite posłuszeństwo w imię miłości Boga.

Czwarty stopień, cierpliwość w znoszeniu przeciwności i w prześladowaniu.

Piąty, odcięcie się całkowicie od grzechów i wszelkich złych myśli, jakie się w nas pojawiają, przez wyjawianie ich ojcu duchowemu. To jest konkretna praktyka życia duchowego.

Szósty stopień, skromność – wyzbycie się chęci posiadania czegokolwiek więcej niż to co konieczne oraz świadomość swojej niedoskonałości i raku godności.

Siódmy stopień, użyczenie względem innych i zdolność akceptacji poniżenia.

Ósmy, wierne trzymanie się tradycji ojców, wyzbycie się ambicji bycia mądrzejszym od poprzedników w życiu duchowym.

Dziewiąty, zdolność milczenia i powstrzymania się od gadulstwa.

Dziesiąty, powściągliwość w śmiechu.

Jedenasty, oszczędność w słowach i skromność w mówieniu.

Dwunasty, nieustanna świadomość bycia przed Bogiem i pamięć o własnej winie, która przypomina o bojaźni Bożej. I w ten sposób przeszliśmy do pierwszego stopnia.

To nie są jakieś szczeble w drabinie, wspinające się w górę, ale jest to krag, który jest cały czas aktualny. Te wszystkie wymiary muszą być aktualne tu i teraz. Co najwyżej można by te stopnie widzieć trochę w tej formie, jak piramidy schodkowe w Babilonie były budowane. Były budowane piramidy, dlatego, że lud, który tam się pojawił zszedł z wysokich gór. Tam oni budowali swoje świątynie na szczytach. Na równinie nie było gór, więc sobie góry wybudowali w postaci piramidy. One były schodkowe, to znaczy były poszczególne płaszczyzny, stopniowo coraz mniejsze, a na samej górze była świątynia. Pomiędzy tymi stopniami były schody, po których ludzie wchodzili. Przy czym była taka zasada, że jak ktoś wchodził jednymi schodami, schodził innymi. Taka zasada potem zresztą była też w Świątyni Jerozolimskiej. Jak wchodził jedną bramą, to musiał wyjść inną. Stąd właśnie ta drabina jakubowa prawdopodobnie odnosiła się do takiego zigguratu, tej piramidy schodkowej. Na szczycie była świątynia Boga, czyli jakby miejsce, mieszkania Boga i ci aniołowie zstępujący i wstępujący to właśnie ci co wchodzili i schodzili z tej piramidy.

I teraz ten pierwszy stopień, bojaźń Boża, jest najszerszy. To jest fundament i stopniowo można widzieć jak te poszczególne etapy są coraz bardziej uszczegółowione i dotyczą coraz bardziej konkretnych praktyk. A tutaj bojaźń Boża jest fundamentem. Podstawą w ogóle pokory.

Na koniec, św. Benedykt w tym rozdziale pisze:

Przeszedłszy wszystkie owe stopnie pokory, mnich dojdzie wkrótce do tej miłości Boga, która jako doskonała usuwa precz lęk. I co poprzednio tylko z obawy wypełniał, tego wszystkiego będzie teraz przestrzegał bez żadnego trudu, z przyzwyczajenia, niejako w sposób naturalny, już nie ze strachu przed piekłem, lecz z miłości do Chrystusa, bo nawykł już do dobrego i znajduje radość w cnocie. Oto co przez Ducha Świętego zechce Pan objawić łaskawie w słudze swoim oczyszczonym z błędów i grzechów. (RB 7,67–70)

Wejście na drogę pokory powoduje rozszerzenie serca i wolność wewnętrzną. Św. Benedykt nawiązuje tu do Listu św. Jana – *W miłości nie ma lęku, lecz*

doskonała miłość usuwa lęk, ponieważ lęk kojarzy się z karą. Ten zaś kto się lęka nie wydoskonalił się w miłości (1 J 4,18).

Nasze „ja” przestaje nas skupiać na sobie. W pokorze osiągamy wolności od koncentrowania się na sobie, a tym samym zdolność bycia sobą autentycznym, bycia autentycznie sobą, tym kim Bóg nas zamyślił w swoim stworczym zamyśle. Abyśmy się stali szczerym i bezinteresownym darem z siebie, jak to określa Sobór Watykański II, w słynnej sentencji, że

Człowiek jest jedyną istotą, którą Bóg stworzył dla niej samej, ale nie może się w pełni zrealizować inaczej, jak tylko przez szczerą, bezinteresowną dar z siebie.

Co oczywiście oznacza miłość.

Św. Benedykt uczy miłości przez dbałość o pokorę w praktyce, w praktycznych postawach. W Prologu do Reguly mówi tak:

Tacy ludzie pełni bojaźni Pańskiej, nie wpadają w zarozumiałość, kiedy widzą, że dobrze postępują. Uważają bowiem, że nawet to dobro, jakie w nich jest, nie z własnej ich mocy, lecz od Pana pochodzi. (RB Prol. 29)

Trzeba umieć widzieć, jakieś dobro, które się ma, ale trzeba wiedzieć, że to dobro jest darem, a z naszej strony jest co najwyżej współpraca z tą łaską, z tym darem.

Wielbią zatem Pana, który w nich działa i wołają razem z Prorokiem: Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę. Podobnie i Paweł Apostoł nie przypisywał sobie zasługi z racji swej pracy apostołskiej, lecz mówił: Z łaski Bożej jestem tym, czym jestem, a kiedy indziej znowu: Kto się chlubi, niech się w Panu chlubi. (RB Prol. 30-32)

I też tylko w pokorze to zasadnicze hasło św. Benedykta – „Aby we wszystkim Bóg był uwielbiony”, uzyskuje swoją prawdę. Aby we wszystkim był Bóg uwielbiony – pokora jest bowiem ważna we wszystkich wymiarach życia. I dlatego też św. Benedykt akcentuje tę pokorę w różnych postawach, np. w przyjęciu gości, żeby nie robić różnicy między bogatym, a biednym, pielgrzymem, czym kimś innym. Żeby w nich dostrzegać Chrystusa, uczy pokory wobec tych ludzi przychodzących. Bez pytania, skąd przychodzą, jakiego są pochodzenia, wyznania itd.

Także o szafarzu, który się zajmuje sprawami ekonomicznymi, św. Benedykt pisze:

Najważniejsze zaś, by miał dużo pokory, a kiedy proszącemu nie ma co dać, niech obdarzy w odpowiedzi życzliwym słowem, jest bowiem napisane: Lepsze jest dobre słowo nad dar najlepszy. Niech zajmuje się wszystkim, co mu zlecił opat, lecz tego, do czego, do czego go nie dopuścił, niechaj tknąć się nie ośmiela. (RB 31, 13-15)

Musi on znać swoją miarę, wiedzieć jakie są granice jego kompetencji. Podobnie jeżeli chodzi o rzemieślników, którzy byli wtedy bardzo cennymi osobami w klasztorze. Jeżeliby powpadali w jakąś pychę, wyniosłość, bo oni tutaj przynoszą jakieś dobro klasztorowi, to zabrać im tę pracę. Nie mogą wpadać w pychę. Tak jak jednoznacznie św. Benedykt pokazuje pokorę, jako podstawę postawy, tak samo zwalcza wszelkie przejawy pychy. Bardzo mocno to wychodzi w takim jego negatywnym mówieniu i przestrzeganiu przed szemraniem. Szemranie jest przejawem pychy.

Także o spotkaniu wspólnotowym 3. rozdział Reguły mówi: „Bracia zaś powinni wyrażać swe zdanie z wielką pokorą i uległością. A niech się nie ośmielają bronić zuchwale tego, co im samym wyda się słuszne.” (RB 3,4). Ale też opat, który jest ojcem klasztoru, ma władzę prawie że absolutną w Regule, kiedy zwołuje braci na radę ma przedstawić problem i nie dyskutować, ale wysłuchać i ma słuchać wszystkich, także tego ostatniego, którym może gardzić, bo uważa, że on jest głupi i nic mądrego nie jest w stanie powiedzieć. Bo może akurat Duch Święty przez tego człowieka przemawia (zob. RB 3,1–3). Sam musi się nauczyć słuchać.

Św. Benedykt sam zresztą, pisząc Regułę wykazał ogromną pokorę. W ostatnim, 73 rozdziale, czyli epilogu Reguły pisze:

Reguła ta została napisana po to, abyśmy zachowując ją w klasztorach mogli pokazać, że postępujemy już w pewnej mierze w sposób godny naszego stanu i właśnie zaczynamy żyć życiem monastycznym. (RB 73, 1)

Zobaczymy – nie ma w tym rozdziale, ani w tym co św. Benedykt pisze żadnej ambicji pokazania, że oto my tu stworzyliśmy coś wspaniałego, godnego podziwu, tutaj możesz osiągnąć szczyty. Nie – tu napisaliśmy coś, co jest podstawą życia, jeżeli chcesz czegoś więcej, możesz znaleźć to w Piśmie Świętym, u Ojców, w Kasjanie, w św. Bazylim, w apoftegmatkach Ojców. Proszę bardzo, tam szukaj. My piszemy regułę dla początkujących.

Jeśli więc śpieszysz do ojczyzny niebieskiej, przestrzegaj najpierw z pomocą Chrystusa tej małej Reguły, którą pisaliśmy dla początkujących. A wówczas,

otoczony opieką Bożą, owe wzniosłe szczyty cnoty i wiedzy, o których właśnie wspominaliśmy, i ty także kiedyś osiągniesz! (RB 73, 8-9)

Otóż warunkiem dojścia do tych szczytów jest uniżenie się i uznanie, że nie jest się mądrym samym dla siebie. Chciej być uczniem, a nie mistrzem. To Pan Jezus powiedział: wszyscy jesteście uczniami, jednego macie mistrza Chrystusa. To bardzo wyraźnie Pan Jezus powiedział w Ewangeliu.

Ewagriusz z Pontu, który uczył o ośmiu duchach zła, podzielił te duchy na dwie grupy. Jedna – pierwsze sześć duchów zła – działa w obszarze takiej zwykłej ascezy. Tutaj w walce z tymi duchami zła, bardzo dobra jest asceza, modlitwa, Psalmi, Hymny, to wszystko jest tutaj dobrym narzędziem. Natomiast jeżeli człowiek to opanuje i uzyskuje jakąś harmonię, to potem dopiero pojawia się w pełnej ostrości walka z tymi dwoma następnymi duchami – próżną chwałą i pychą. To jest niesamowicie ważna prawda. Jeżeli osiągniemy jakiś pułap dojrzałości i zachwycilibyśmy się tym w jakiś sposób i właśnie wynosili nad innych, to wpadamy w próżną chwałę. Przykładem jest właśnie ten Faryzeusz w Świątyni. I mnisi mówili, że jeżeli ktoś właśnie wpada w tę próżną chwałę, to spada poniżej poziomu tego, z którego w ogóle wyszedł, wstąpił na drogę duchową. Dlatego, że demony, demon próżnej chwały i pychy, to są już demony rzeczywiście szatańskie, demoniczne. Trzeba pamiętać, że największym grzechem w ogóle to jest grzech pychy szatańskiej. Wpadając w próżną chwałę człowiek idzie w tym kierunku, w kierunku grzechu pychy szatańskiej.

To się sprawdza w historii, na różny sposób, u ludzi. Wszyscy ci, którzy tworzyli jakieś sekty, jakieś odejścia, właśnie wpadali w tą próżną chwałę i robili bardzo dużo zła. To odnosi się także do polityki. Wszyscy dyktatorzy, to byli ludzie, którzy wpadli w pychę. To zresztą widać do dzisiaj. Zresztą nawet w tym życiu, takim zwykłym, przecież mówi się dosyć wyraźnie, „władza demoralizuje”. I to rzeczywiście się sprawdza w bardzo wielu przypadkach – władza demoralizuje. Ktoś wszedł na jakiś stopień władzy, nagle czuje, że jest kimś lepszym, wyższym. Mało tego, jest takie wrażenie, że jak człowiek osiągnął pewien stopień władzy to jest jakby bezkarny. Prawo jest dla tych maluczkich, dla tych powyżej pewnego poziomu, to już nie, oni są poza prawem. To dotyczy nie tylko społeczności świeckiej, ale także kościelnej. Co zresztą w tych ostatnich aferach wydaje się wyszło dosyć wyraźnie. Tutaj się pokazuje właśnie, jak próżna chwała wprowadza człowieka w jakiś zupełnie przewrotne myślenie, demoniczne wręcz, w którym człowiek nie ma poczu-

cia grzeszności, bo jest kimś wyższym. To samo dotyczy zresztą i filozofii. Raskolnikow w Zbrodni i Karze, to był człowiek, który uważał się za kogoś, kto jest z tej grupy ludzi, którzy są ponad zwykłymi normami moralnymi.

Pokora jest dla nas czymś niezwykle trudnym, bo uderza wprost w naszą wyniosłość, pychę, która jest u podstaw wszystkich grzechów. Dlatego też, bez pokory nie można prawdziwie postąpić w życiu duchowym. Jeżeli chodzi o zorientowanie się, czy rzeczywiście postąpiliśmy do przodu, to możemy zobaczyć czy jest w nas pokora, rozpoznając czy jest ona w nas, poznając ją po jej właściwych przejawach, owocach.

W apoftegmaty też bardzo mocno tę pokorę akcentowano. Najsłynniejszy jest apoftegmat o pokorze Abba Antoniego, który powiedział: „Zobaczyłem wszystkie siły nieprzyjaciela rozpostarte na ziemi. Jęknąłem więc i powiedziałem: a któż się wymknie? I usłyszałem głos mówiący do mnie: **pokora.**” Abba Hyperhios powiedział: „Drzewo Życia znajduje się wysoko, dosięgnie go pokora mnicha.” Abba Jan Karzel powiedział, że pokora jest bramą do Boga. Ojcowie nasi z radością weszli do miasta Bożego, bo znieśli wiele upokorzeń. Mówił też, że pokora i bojaźń Boża przewyższają inne cnoty. „Jeżeli ktoś pokona swoją pychę stając się pokorny, to w tym momencie właśnie osiąga podobieństwo do Boga.” „Opowiadano o Abba Makarym Wielkim, że stał się, jak napisano, na ziemi jako Bóg, bo jak Bóg ochrania świat, tak Abba Makary osłaniał winy ludzi, na które patrzył, jakby nie widząc i słuchał o nich, jakby nie słysząc.”

Bóg jest pokorny w swojej miłości. Jest pokorną miłością i my najbardziej upodobniamy się do Niego właśnie w takiej pokornej miłości.

Z nagrania spisał Piotr Lewicki, Warszawa



REKOLEKCJE ADWENTOWE OBLATÓW W TYŃCU

11-13 GRUDNIA 2020

„JAK DUSZA W CIELE” – O MIEJSCU I ROLI

OBLATÓW W ŚWIECIE

O. GRZEGORZ HAWRYŁECZKO

KONFERENCJA 2

Rozpocznijmy to spotkanie od zastanowienia się czym jest adwent i jakie są jego praktyczne konsekwencje. W tradycji Kościoła przyjęło się, że słowo „adwent” to *przyjście, przybycie*, czasem *obecność*, odniesione do Pana Boga. Jest to także nazwa okresu roku liturgicznego, który przypomina nam, że Bóg wielokrotnie wchodził w historię ludzkości oraz że szczytem tej obecności było Wcielenie Jego Syna.

Adwent składa się z dwóch części. Pierwsza poświęcona jest przygotowaniu się na ponowne przyjście Chrystusa, czyli na paruzję lub Dzień Ostateczny. W tym czasie kierujemy nasze serca ku temu, co nastąpi na końcu czasu, kiedy Chrystus powróci do nas w chwale. Druga część to czas bezpośredniego przygotowania do uroczystości Narodzenia Pańskiego, w którym wspominamy pierwsze przyjście Chrystusa na ziemię. Teksty mszalne czytane w tym okresie, skupiają się na obu tych tematach.

Czytanie z ostatniej niedzieli to fragment z Listu św. Piotra, w którym Apostoł odnosi się do lekceważącego traktowania pierwszych chrześcijan przez pogańskie otoczenie; wyśmiewania ich z powodu oczekiwania na przyjście Boga, na Jezusa Chrystusa, o którym mówią, że wróci lada moment. Nikt jednak nie wraca, więc robią sobie z tego żarty, nie traktują chrześcijan poważnie. Święty Piotr uspokaja wiernych, mówiąc: rzeczywiście może tak być, że nie wróci szybko, bo dla Pana Boga jeden dzień jest jak tysiąc lat. Znajdujemy tam także uwagę, by chrześcijanie nie starali się przyspieszać przyjścia Pana, bo cóż człowiek może zrobić, żeby przyspieszyć to przyjście?

Zauważmy, że nasza duchowość benedyktyńska mnichów i oblatów jest pod wieloma względami właśnie taka — adwentowa. Święty Bernard z Clairvaux, analizując, co oznacza adwent dla człowieka, stwierdza, że między adwentem narodzenia się Chrystusa a Jego ostatecznym przyjściem jest jeszcze trzeci

adwent, czyli czas oczekiwania na przyjście Boga do każdego z nas: chodzi o oczekiwanie na przyjście Boga w naszej codzienności; o trzeci adwent, który powinien być treścią naszego codziennego życia.

Z tych wszystkich znaczeń adwentu — Wcielenia Pańskiego, codziennej obecności Bożej i oczekiwania na paruzję — wynika, że Pan Bóg jest zawsze blisko nas. Duchowość benedyktyńska jest adwentowa, bo pod wieloma względami bardzo dobrze odpowiada na pragnienie człowieka, żeby Pan Bóg się do nas zbliżył, był z nami tu na ziemi.

Omówmy teraz cztery, znane nam praktyki życia benedyktyńskiego. Wybrałem takie praktyki, które dotyczą nie tylko mnichów, ale i oblatów. Pierwszą praktykę św. Benedykt charakteryzuje w Regule tak: „nie ma nic ważniejszego nad służbę Bożą”, a więc nad Liturgię Godzin — modlitwę psalmami. Modlitwa psalmami jest ponadczasowa i nigdy dość przypominania, że jest to w pewnym sensie oficjalna modlitwa Kościoła. Wszystkie osoby konsekrowane mają obowiązek modlić się psalmami. Taką modlitwę Kościół zaleca także wszystkim wiernym, a więc i oblatom. Modlitwa psalmami łączy nas z naszym Panem i Zbawicielem.

Chrystus, tak jak każdy Żyd w Jego czasach, też modlił się psalmami. Jeśli chcemy naśladować Chrystusa, a pomijamy psalmy to znaczy, że nam w życiu duchowym czegoś brakuje. Gdy w klasztorze rozlegnie się dzwonek na liturgię godzin, mnich zostawia wszystko i biegnie do oratorium, żeby wziąć udział we wspólnej modlitwie. Ta modlitwa jest też wyróżniona tym, że łączy osoby, które mają różne wrażliwości czy preferencje: jedni lubią odmawiać różaniec, są miłośnicy nowenn, są tacy, którzy chcą się modlić w zupełnej ciszy, inni preferują modlitwę medytacyjną. W przypadku modlitwy psalmami nie ma wątpliwości, że jest to modlitwa wspólna, ona zawsze łączy, przy niej nasze indywidualne postawy przestają być istotne.

Modlitwa psalmami jest też pewnym wyzwaniem. Jest wyzwaniem, bo modląc się nie dobieramy psalmów według uznania. Liturgia Godzin kieruje się inną logiką. Psalmy i godziny kanoniczne są zaplanowane. Kiedy przychodzimy na wspólną modlitwę i otwieramy brewiarz, będziemy recytować to, co ustalił Kościół. Z tego nie wynika, że nie możemy się modlić psalmami indywidualnie. Jednak indywidualny wybór psalmów, na ogół będzie związany z naszymi emocjami, spokojem czy zadowoleniem albo zdenerwowaniem i niepokojem — w czym nie ma nic zdroźnego.

W klasztorze wiele razy slyszalem wezwanie, by modlic się takze psalmami indywidualnie, miec blisko psalterz i modlic się samemu. W Liturgii Godzin psalmy nie są dostosowane do naszych nastrojów to my mamy swojå postawę dostosowac się do psalmów. Wytwarza to pewne napięcia czy nawet konflikty między tym, co jest w naszym wnętrzu a tym, co będziemy czytać.

Jeśli ktoś w ciągu dnia zdążył się bardzo zdenerwować i na Nieszporach pierwszym odmawianym psalmem będzie Psalm 23, psalm uspokajający, sielankowy i przyjemny, zareagować może różnie. W sobie ma jakiś gniew, poczucie niesprawiedliwości, a tu musi mówić: *Pan jest moim Pasterzem, niczego mi nie braknie...* Pamiętajmy — modlitwa psalmami tak działa, taka jest logika Bożego działania!

Jeżeli obcujemy z psalmami to w tym czasie obcujemy z Panem Bogiem. Bóg przypomina nam jaki jest i jak działa. Prawdy o Panu Bogu nie wyrażają emocje, które aktualnie w nas powstały i które odczuwamy; prawdę o Bogu znajdujemy w słowie Bożym. Bóg jest inny niż nasze o Nim wyobrażenia. Modlitwa psalmami sprowadza nas na ziemię i osadza w konkretnie zdrowej duchowości.

Podam przykład. W Opactwie, krótko po przyjęciu mnie do nowicjatu, były wybory opata. Nie udało się go wówczas wybrać. Zaraz po ogłoszeniu tego faktu oraz zapowiedzi, że zostanie mianowany administrator, wypadła Modlitwa w ciągu dnia. I gdy poszliśmy na nią, w trzecim psalmie recytowaliśmy: *o jak dobrze i jak miło, gdy bracia żyją w jedności*. Myślę, że wiele osób w stallach poczuło, iż psalmy stawiają przed nami wyzwanie: mamy szukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego nie osiągnęliśmy tej jedności, co to dla nas oznacza.

Psalmy sprawiają, że Pana Boga odnajdujemy obok nas, w naszej rzeczywistości. Gdy jesteśmy dezorientowani różnymi sytuacjami życiowymi, możemy dzięki psalmom te sytuacje zobaczyć w Bożej perspektywie. Może też być odwrotnie. Przychodzimy do chóru, czy otwieramy brewiarz, i spostrzegamy, że modlimy się psalmami, które dokładnie odpowiadają temu, co czujemy. To też jest ważny sygnał, bo to oznacza, że nie jesteśmy sami z tym, co przeżywamy; że to czego akurat doświadczamy, co jest naszą własną historią, przeżywał ktoś przed nami, miał już kiedyś podobne poczucie niesprawiedliwości czy skrzywdzenia albo że chciał Panu Bogu za coś dziękować, czy za coś Go wychwalać.

Wczoraj na godzinie czytań mieliśmy psalm, który wyrażał pytanie: dlaczego jestem odrzucony przez Ciebie Boże? Dlaczego niesprawiedliwym się wiesz, a tych którzy są wierni Tobie ciągle spotyka coś złego? Jeżeli mamy takie doświadczenie i przychodzimy z nim na Liturgię Godzin, i modlimy się akurat tym psalmem, to jest to sygnał od Pana Boga, że nie jesteśmy sami, powinniśmy zaufać Bogu. Bóg do nas mówi: Wytwraj w wierności wobec Mnie, bo nie jesteś pierwszy, który tego doświadcza. W klasztorze benedyktyńskim nie dość zatem przypominania, że warto się modlić psalmami.

Drugą praktyką, o której chcę mówić, jest modlitwa osobista. Święty Benedykt w Regule mówi niewiele o modlitwie osobistej. Jednak tę modlitwę darzy bardzo dużym szacunkiem. Stwierdza, że jeżeli ktoś chce się pomodlić po skończonym oficjum, to niech zostanie w oratorium, w którym powinna być kompletna cisza i nie powinna mu przeszkadzać niczyja bezwzględność. Nikt nie powinien przeszkadzać człowiekowi, który się modli, ponieważ robi coś bardzo godnego szacunku. Zauważmy, że dopominanie się szacunku dla modlącego zapodziało się gdzieś w naszej cywilizacji, także w naszym społeczeństwie. Dzisiaj patrzy się na to trochę z politowaniem. Ważne jest więc to, byśmy żyjąc w swoich środowiskach, pełniąc różne role w świecie, dawali świadectwo modlitwy. Będzie to wyraźny sygnał – modlę się, a więc poświęcam czas Bogu.

W neurologii można znaleźć wyniki badań o tym, jak modlitwa wpływa na nasz mózg. Okazuje się, że u osób modlących uaktywniają się te ośrodki w mózgu, które odpowiadają za kontakty z drugim człowiekiem. Jeżeli więc mamy doświadczenie modlitwy, to mamy doświadczenie spotkania z osobą, chociaż to nie jest osoba fizyczna. Choć nie słyszymy głosu Pana Boga ani Go nie widzimy, to jednak nasz mózg wysyła sygnały o spotykaniu kogoś. Prawda takiego spotkania ujawni się i obroni w relacjach z ludźmi także niewierzącymi.

Po przyjeździe do opactwa odkryłem prostą prawdę, którą często powtarzam, że modlitwa to nie jest nasze dzieło. Oczywiście bez angażowania naszej woli i bez naszej decyzji, bez zamknięcia się w naszej izdebce, modlitwy nie będzie. Człowiek nie jest robotem. Bóg nas do modlitwy nie przymusza, na tym polega wielki szacunek Pana Boga do człowieka. Decyzja o modleniu się wpływa z wolnej woli człowieka. Bóg na tę decyzję człowieka czeka. Bóg zdaje się mówić: Zdecyduj się na modlitwę, bo Ja za ciebie tego nie zrobię.

Jak już się modlimy i niekoniecznie doświadczamy ekstatycznych wzlotów, albo kiedy częstokroć doświadczamy jałowości lub monotonii modlitwy, nie przestawajmy. Jeśli wytrwamy w modlitwie, pojawi się ochota, by do niej wracać, by dalej się modlić.

Modlitwa nie jest po to, by coś uzyskać, np. zdrowie, dobre samopoczucie, wyjaśnienie jakiejś kwestii, z którą się zmagamy. Modlitwa niekoniecznie przyniesie odpowiedzi, na pytania które w sobie nosimy, bo modlitwa jest dziełem łaski. Jeżeli trwamy na modlitwie, mimo że nic się nie dzieje szczególnego, to jednak otrzymujemy łaskę od Boga. Jesteśmy chrześcijanami, bo działa w nas łaska, bo chrześcijaninem nie jest człowiek, który wypełnia własnymi siłami Boże przykazania, ale człowiek pamiętający, że cały czas Pan Bóg w nim działa i On wszystko doprowadzi do końca.

To, że jesteśmy dzisiaj na rekolekcjach i że wierzymy w Boga, że Chrystus jest Zbawicielem, to nie jest tylko nasza zasługa: jest to dzieło łaski Bożej, która nigdy nie niweczy i nie unieważnia ludzkiej wolności.

W Kościele bardzo często słyszymy, że wiara jest łaską. Ten argument pojawia się też w dyskusjach z ludźmi niewierzącymi. Jak niewierzący ma uwierzyć, jak go mam przekonać, skoro wiara jest łaską? Spójrzmy na siebie i pojmijmy tę prawdę: zapragnij Boga, a Bóg da ci łaskę tu i teraz. Otrzymasz wtedy najlepszy dowód na Jego istnienie. Jeżeli się modlisz, to znaczy, że działa łaska, dzięki Bożej pomocy możesz do modlitwy wracać. Zachęcam by dobrze sobie ten temat przemyśleć. To się nie dzieje dzięki mnie, ale dzięki Bogu.

Modlitwa jest jedną z tych praktyk adwentowych, która podobnie jak Liturgia Godzin uobecnia Pana Boga w świecie. Bóg podczas modlitwy pokazuje swoje działanie. Ale jest niewidzialny, stąd spotkanie z Nim jest inne niż z drugim człowiekiem.

Trzecia praktyka to bycie we wspólnocie. W tych dniach doświadczacie potrzeby bycia we wspólnocie. Mimo izolacji jesteśmy razem, także w kontakcie internetowym. Spośród różnych wspólnot, w których się obracamy, chciałbym zwrócić uwagę na wspólnotę ludzi dzielących z nami wiarę.

Jesteście z całej Polski i tam, gdzie żyjecie na co dzień, nie ma oblatów. Bardzo istotne w naszym życiu jest spotkanie się z osobami wierzącymi i rozmawianie z nimi o Panu Bogu. Takie zalecenie brzmi trochę jak ćwiczenie

rekolekcyjne, wyznaczone do wykonania. Niech tak nie będzie, bo co wymuszone, nie jest skuteczne. Składajmy świadectwo wiary, a wiara się pomnoży.

Człowiek wierzący, sam pośród ludzi niewierzących, nawet bardzo silny psychicznie, w pewnym momencie może zacząć wątpić. Z mojego doświadczenia wiem, że w takich momentach warto zwrócić się do przyjaciół albo współbraci i zacząć rozmawiać o Bogu, pytać, jak każdy z nas Go doświadcza. W takich chwilach niemal namacalnie doświadczymy tego, o czym mówi Pan Jezus: *gdzie dwaj lub trzej zgromadzą się w Imię Moje tam Ja będę pośród nich*. W takich chwilach dzieją się wielkie rzeczy; to, co było oziębłe, rozpala się, otwiera się pamięć o tym, co Pan Bóg dla nas zrobił, nagle wyraźniej widać Bożą perspektywę. Na takich spotkaniach dzieją się rzeczy niezaplanowane; nie jest to zasługa rozmawiających — jest to działanie Pana Boga.

Jeżeli dzielimy się wiarą, to Bóg to wspiera i doprowadza to do pełni. Jeżeli tylko macie taką możliwość, bardzo zachęcam do tego, by tworzyć małe wspólnoty i rozmawiać o Panu Bogu. Pewnie nie zawsze to pójdzie po waszej myśli, nie zawsze będzie to wypełnione żarem, ale jestem pewien, że to zadziała. Takie małe grupy inaczej się komunikują niż np. grupy parafialne czy nawet takie jak ta oblacka. Grupy sformalizowane spotykają się regularnie i mają swój rytuał, a tu chodzi o grupki dwu-, trzyosobowe, z którymi można, pośród codziennych obowiązków, usiąść i porozmawiać, podzielić się doświadczeniem. Z tego wypłyne duże umocnienie.

Czwarta praktyka dotyczy śmierci. Święty Benedykt zaleca każdemu mnichowi: „śmierć nadchodzącą mieć zawsze przed oczyma”. Jest to może najbardziej adwentowa praktyka ze wszystkich omawianych, ponieważ prawdziwy adwent w życiu człowieka zdarza się wtedy, kiedy to życie się kończy, kiedy Chrystus przyjdzie do nas osobiście.

Nie tak dawno zdawałem egzamin z eschatologii, dużo czytałem na ten temat i, mówiąc żartobliwie, byłem bliski utraty wiary przy dyskusjach na temat tzw. stanu pośredniego, czyli czasu od śmierci do sądu. Co dzieje się wtedy z duszą człowieka? Mówimy, doświadczenie śmierci jest doświadczeniem spotkania z Chrystusem, ale co to znaczy, to się dopiero okaże. Nie każdy, kto umrze, od razu pójdzie do nieba, ale uważa się, że każdy po śmierci spotka się z Chrystusem.

Sformułowanie św. Benedykta, by zawsze mieć śmierć nadchodzącą przed oczyma, odczytujemy jako wezwanie do uważności, do motywowania naszych życiowych działań perspektywą nieuchronności śmierci; nie chodzi tu

o wywoływanie w sobie strachu przed śmiercią. Raczej powinniśmy mieć na uwadze refleksję, co by było, gdyby moja śmierć nastąpiła dzisiaj. Jeżeli mamy z tym problem, to jest to temat do przepracowania. A każdy z nas ma z tym stwierdzeniem większy bądź mniejszy problem. Dla chrześcijanina jest to wielkie wyzwanie, by pragnąć przyjścia Chrystusa nawet w tej chwili.

Ojciec Mateusz Zduński, który prowadził rekolekcje w Tyńcu dla oblatów, żyje obecnie w Anglii. Przysyłając do nas listy, zawsze kończy je słowami *marana tha*, przyjdź Panie Jezu, choćby natychmiast, choćby teraz. Czy naprawdę chcę przyjścia Chrystusa teraz? Jeżeli nie chcę, to dlaczego? Nie możemy się bać szczerych odpowiedzi na te pytania. Nasze życie może się nagle skończyć, szczególnie teraz, w czasie epidemii. I nie tylko osób starszych, ale i ludzi młodych i zdrowych. Trzeba więc cały czas *mieć śmierć nadchodzącą przed oczyma*.

Tak więc są te cztery: modlitwa psalmami, modlitwa osobista, bycie we wspólnocie i oczekiwanie na śmierć. Cztery praktyki, do których odnowienia i stosowania bardzo zachęcam.

Jeżeli szukamy dla oblata roli i miejsca w życiu, to wyznaczają je, między innymi, omówione praktyki adwentowe. Jeśli zaczniemy zgodnie z nimi żyć, to wszystko inne, co dotyczy naszego zaangażowania w świecie, naszej służby ludziom wokół nas, zostanie uporządkowane. To jest początek drogi, którą trzeba podążać.

Szczęść Boże!

Spisał Wiesław Nagórko, Warszawa

**KOŚCIÓŁ P.W. ŚW. KAZIMIERZA KRÓLEWICZA
W WARSZAWIE KLASZTOR MNISZEK BENEDYKTYNEK-
SAKRAMENTEK W WARSZAWIE
REKOLEKCJE ADWENTOWE 16-18 GRUDNIA 2020 R.**

16 grudnia 2020

Iz 45, 6b-8. 18. 21b-25

Łk 7, 18b-23

Nasze rekolekcje zostały opatrzone takim nieco niejednoznacznym tytułem w formie pytania „Na co jeszcze czekamy?”. I to hasło zdaje się sugerować z jednej strony pewnego rodzaju zniecierpliwienie, bo możemy to zdanie rozumieć: na co jeszcze czekamy – chodźmy coś zróbmy, już przestańmy siedzieć z założonymi rękami. Ale to hasło „Na co jeszcze czekamy?” może również stanowić wyraz jakiejś naszej frustracji, może smutku, że już tyle lat upłynęło, nic się nie zmieniło... na cóż my jeszcze czekamy?

To są w pewnym sensie takie dwie skrajne postawy. Możemy nazwać je „skrajnymi postawami adwentowymi”, które nikomu z tutaj obecnych nie są obce. Każdy z nas w takiej sytuacji był lub jest. Zapewne każdy z nas w takiej sytuacji jeszcze będzie. Ale rekolekcje są też po to, abyśmy oświeceni Słowem Bożym uczyli się w jaki sposób mamy mądrze i po chrześcijańsku żyć. I dzisiejsza Ewangelia stawia nam przed oczy jednego z największych proroków, „największego spośród narodzonych z niewiasty” (por Mt 11,11), jak mówi o nim Jezus, Jana Chrzciciela. Tego, który niejako całym swoim życiem, tym co robił, ucieleśnia to, czym jest Adwent. On i prorok Izajasz.

I św. Jan Chrzciciel siedzi w więzieniu – w tej dzisiejsze Ewangelii – wtrącony tam przez króla Heroda. Domyśla się zapewne, że jego dni są policzone, że już żywy stamtąd nie wyjdzie i zaczyna dokonywać rachunku swojego sumienia, zaczyna bilansować całe swoje życie. A w ostatnich miesiącach wszystko co miał postawił na Chrystusa, ogłosił Go Mesjaszem tym długo oczekiwanym i teraz od Mesjasza odcięty wysyła do Jezusa uczniów z zapytaniem: *Czy Ty jesteś Tym, którego mamy oczekiwać?* (Łk 7,19).

Kiedy pomyślimy sobie o Janie Chrzcicielu i poczytamy sobie wypowiedzi, które kierował do słuchających go tłumów, możemy być przekonani co do

tego, że on Panem Jezusem był trochę rozczarowany, dlatego że zapowiadał Mesjasza chyba według tych klasycznych wyobrażeń, tak jak wyobrażali Go sobie Żydzi w I wieku, wtedy kiedy mówił, że siekiera do pnia jest przyłożona, że już nadchodzi Ten, który oczyści swój omlot, że plewy spali w ogniu nieugaszonym... generalnie, że będzie porządek. A jak wiemy, Pan Jezus szedł trochę inną drogą i stąd właśnie zrodziło się w Janie Chrzcicielu to pytanie, czy się nie pomylił. Kiedy słuchamy odpowiedzi Pana Jezusa, to ona jest bardzo rozczarowująca, bo On nie mówi Janowi niczego, czego on by nie wiedział. A z drugiej strony dotyka dokładnie samego serca wątpliwości Jana. Dlaczego Jan zadał to pytanie? Dlatego, że zamiast wsiąść na koń i zrobić porządek Chrystus uzdrowia, wskrzesza, leczy – tak, jak to znamy z Ewangelii. I teraz Jan Chrzciciel, człowiek, który znajduje się w swojej krańcowej sytuacji – on wie, że za chwilę straci życie – i zastanawia się, czy się głęboko nie pomylił i dostaje odpowiedź, że dokładnie bardzo dobrze rozumie, że Jezus jest właśnie Tym, który uzdrowia niewidomych, uzdrowia chromych, trędowatych, wskrzesza umarłych i ubogim głosi Ewangelię. Czyli tak naprawdę nie odpowiedział na pytanie Jana, a nawet wręcz przeciwnie – podkreślił to wszystko, co Janowi wydawało się słabością Jezusa. Jedyną nowością w tym stwierdzeniu jest wezwanie do wiary po raz kolejny *błogosławiony jest ten, kto we Mnie nie zwątpi* (Łk 7,23). I my w naszym życiu bardzo często jesteśmy w takiej sytuacji, jak Jan w tej twierdzy w Macheroncie uwięziony przez Heroda. Może nam się wydawać, że nasze życie dobiega kresu, albo jest nic nieznaczące tak, jak wydawało się to Janowi Chrzcicielowi – cóż on może jeszcze zrobić wielkiego skoro siedzi zamknięty w więzieniu. Możemy przeżywać Boga jako kogoś, kto nas zawiódł. Kto nie okazał się tym, kim myśleliśmy, że jest. Dokładnie tak, jak zawiódł się Jan Chrzciciel. Możemy przeżywać naszą religijność, naszą modlitwę, naszą wiarę jak coś głęboko rozczarowującego. Jako coś, co nie tak miało być, na co żeśmy się umawiali. I wtedy z głębi tego naszego smutku możemy zanieść do Boga taką modlitwę jak Jan Chrzciciel z dna swojego lochu: Czy Ty naprawdę jesteś Bogiem? Naprawdę tak miało wyglądać moje życie? Naprawdę tego ode mnie chciałeś?

Jezus w tym zdaniu skierowanym do Jana Chrzciciela uczy nas, że najważniejsza w naszym życiu jest wiara. Nie to, co w naszym życiu się dzieje. Czy ono spełnia nasze oczekiwania, czy nie spełnia. Najważniejsza w ludzkim życiu jest wiara, więź z Bogiem. Jeżeli człowiek zachowuje więź z Bogiem, życie nie może być beзуżyteczne i bezsensowne. Nawet jeśli jest zupełnie inne niż nam się wydaje, że powinno być.

Dzisiaj może przyjęlibyśmy z entuzjazmem takie rzeczy, jakie robi Pan Jezus – żeby trochę zmarłych powskrzeszał, żeby trochę niewidomych uzdrowił. Tymczasem nikogo takiego nie ma. A Jezus mówi *Błogosławiony jest ten, kto we mnie nie wątpi* (Łk 7,23). Pytamy dzisiaj Jana Chrzciciela: Na co jeszcze czekasz? I myślę, że nauczony tą odpowiedzią Jezusa odpowiada nam – i dobrze, żebyśmy się tego od niego nauczyli – jednym prostym zdaniem, że czeka już tylko na Boga. I dobrze, żebyśmy w czasie Adwentu nauczyli się tego, że mamy czekać na Boga. Nie na kolejny sukces, nie na to, żeby się w naszym życiu wreszcie coś zmieniło. Tylko mamy czekać na Boga. Kiedy Bóg przyjdzie, wszystko ulegnie uporządkowaniu.

Prośmy dzisiaj w trakcie tej Mszy świętej, aby była nam dana głęboka wiara, głębokie zakotwiczenie w Panu Bogu, żebyśmy do Niego odnosili każde wydarzenie naszego życia. Dzisiaj prorok Izajasz i Jezus też w odniesieniu do Jana próbują przekonać nas, że całe nasze życie i wszystko to, co się dzieje, jest w ręku Boga. Może nam się wydawać, że zło zwycięża, albo nie dajemy sobie rady, albo Bóg jest z nas niezadowolony, ale to wszystko są podszepty Złego. Bóg miłuje nas aż do przelania krwi. Nic na tym świecie nie dzieje się bez Bożego dopustu. I ostatecznie do Boga należy i przeszłość, i teraźniejszość, i przyszłość. Dlatego jeżeli na cokolwiek warto czekać, to warto czekać właśnie na Pana Boga.

17 grudnia 2020

Rdz 49, 1a. 2. 8-10

Mt 1, 1-17

Stawiamy sobie to zasadnicze pytanie: Na co jeszcze czekamy? Dzisiejsza Liturgia Słowa troszeczkę nam podpowiada, w którym kierunku dalej mamy się udać. Wczoraj mówiliśmy o tym, że tym pierwotnym, najważniejszym na kogo człowiek powinien czekać jest Bóg. Że życie ludzkie jest oczekiwaniem na Boga. Z jednej strony już Go doświadczamy, jesteśmy ochrzczeni, przystępujemy do sakramentów świętych. A z drugiej strony chcemy Go zobaczyć twarzą w twarz. I dzisiaj Słowo Boże, dzisiejsza Liturgia Słowa mówi nam troszeczkę więcej, w jaki sposób to się dzieje, że człowiek na Tego Boga czeka i On ostatecznie do człowieka przychodzi.

Zacznijmy od Ewangelii, która może się nam wydawać na samym początku tekstem bardzo nudnym, jednostajnym, po kolei wyliczającym następujących po sobie ojców i synów. Jeszcze czasem matka jest włączona też w tę genealogię. Można przyrównać to, ponieważ – trzeba to też powiedzieć – ta genealogia, czyli ta rodzina, która tutaj jest, to jest rodzina Pana Jezusa. Można

powiedzieć tak trochę żartobliwie: taka wielka, rodzinna fotografia, na której widnieją przodkowie Pana. Są wśród nich ludzie bardzo dobrzy, bardzo świętobliwi, ale są też ludzie źli. Są ludzie, o których wiemy bardzo dużo i są ludzie, o których – poza imieniem – nie wiemy nic. Ale ta genealogia została nam dana między innymi po to, że za każdym imieniem jest jakieś jedno życie, jakaś jedna ludzka historia. Została nam więc dana, żebyśmy zobaczyli, że Pan Bóg przychodzi do nas przez naszą codzienność. Na tę genealogię możemy popatrzeć też jak na kalendarz, kalendarz naszego życia. Są w nim takie dni, które są dla nas bardzo ważne, wspominamy je, czasami obchodzimy rocznice, dni trudne lub piękne, jak komu przyszło, ale dni, które się pamięta, jak ci bohaterowie: jak król Dawid chociażby, czy Juda, syn Jakuba. Ale są takie dni, których nie pamiętamy, które nam przeciekły przez palce jak woda, gdzieś odeszły w zapomnienie. Dni takie, jak tysiące innych. Jak ci bohaterowie tutaj wymienieni, jak chociażby Jakub, ojciec Józefa, o którym nic nie wiemy poza tym, że był. Ale przez te dni wielkie i znaczące i przez te małe i niepozorne dni przychodzi do nas Bóg tak, jak przyszedł przez tę rodzinę Pana Jezusową. To jest pierwszy wniosek z tego czytania.

Drugi to ten, że ostatecznie historia leży w ręku Boga. Chcemy kierować naszym życiem, chcemy wpływać na bieg wydarzeń, ale to ostatecznie Pan Bóg czyni to, co uzna za słuszne. Ci wszyscy ludzie wymienieni w genealogii Jezusa nawet zapewne nie zdawali sobie sprawy – no może poza królem Dawidem – że będą przodkami Mesjasza, że będą przodkami ziemskimi Syna Bożego, który się Wcielil. I my też tkamy nić naszego życia tak do końca nie wiedząc, jak Pan Bóg ostatecznie ją wykorzysta. To, co możemy zrobić, to starać się, by było ono jak najlepsze, wierne przykazaniom, zasluchane w to, co mówi do nas Pan Bóg. Co nie zmienia faktu, że jest ono nieustannym czekaniem na to, co Pan Bóg z tym naszym życiem zrobi. A domyślamy się – znając Go troszeczkę – że zrobi coś zaskakującego.

Obok Lekcjonarza, gdzie mamy czytania mszalne, mamy jeszcze drugą księgę liturgiczną, czyli Mszał. Te dwie księgi – można tak powiedzieć – to są takie dwa podstawowe modlitewniki ludu Bożego. Dodalibyśmy jeszcze Liturgię Godzin. Teraz akurat jest taki czas, że bez problemu można mieć do nich dostęp. Przed laty było to jeszcze niemożliwe, albo możliwe, ale bardzo kosztowne. Teraz dzięki internetowi wszystko jest możliwe i bardzo tanie, albo nawet za darmo, więc codziennie ten kontakt z Liturgią, z tym co jest w Mszale i z tym, co jest w Lekcjonarzu, możemy mieć. Nawet jeśli chodzi o online.

Dzisiejsze modlitwy, które daje nam Mszał, to odmówienie, odśpiewanie w czasie Liturgii, troszkę uchylają przed nami rąbka tajemnicy, co Pan Bóg z tym naszym życiem ostatecznie może zrobić. Mówiliśmy, że nasze życie jest jak trochę ta genealogia Pana Jezusa – ważne, mniej ważne, takie, które warto pamiętać, takie, o których człowiek zapomina. Ostatecznie Pan Bóg da przez to nasze życie coś takiego Swojego, jakąś Swoją Obecność. I dzisiejsza kolekta, czyli ta modlitwa, którą się odmawia na początku Mszy świętej, ona nam przypomina, co jest tak naprawdę celem życia chrześcijańskiego i co jest przedmiotem naszego oczekiwania. Modlitwa mszalna mówi tak: „Boże, Stwórcu i Odkupicielu człowieka, z Twojej woli odwieczne Słowo przyjęło ciało w łonie Maryi Dziewicy, wysłuchaj łaskawie nasze prośby, aby Twój Syn, który stał się człowiekiem, dał nam udział w swoim Boskim życiu”. Krótko, w łacińskim stylu bez jakiegoś zbędnego gadania. Każda modlitwa ma taką samą strukturę: rozpoczyna się od zwrotu do Boga: „Boże, Stwórcu i Odkupicielu człowieka”, przypomina Mu jakieś Jego zbawcze działanie: „z Twojej woli odwieczne Słowo przyjęło ciało w łonie Maryi Dziewicy” i kończy się prośbą: „wysłuchaj łaskawie nasze prośby, aby Twój Syn, który stał się człowiekiem, dał nam udział w swoim Boskim życiu”. I to jest właśnie prośba i konkluzja.

Kiedy zadajemy sobie pytanie, na co jeszcze czekamy, to właśnie na to... Przez to nasze życie, przez to, jakie ono jest, przez które przychodzi do nas Pan Bóg, czekamy na to, abyśmy mieli udział w Boskim Życiu. Teologia mówi o przeobstwieciu człowieka. Innymi słowy tak, jak Bóg stał się człowiekiem, czyli miał udział w ludzkiej naturze, Syn Boży stał się tak, jak my, był do nas podobny we wszystkim z wyjątkiem grzechu, to zrobił to po to, żebyśmy my przebyli drogę w drugą stronę. Czyli tak, jak On miał udział w naszym życiu i w naszej niedoli, tak, żebyśmy dzięki Jego Wcieleniu mieli udział w pełni Jego szczęścia. Abyśmy zostali przeobstwieci.

I z jednej strony jest to coś, na co czekamy, co objawi się w pełni dopiero w momencie końca świata, kiedy Chrystus przyjdzie na sąd, ale z drugiej strony już teraz możemy doznawać tej tajemnicy, tego przeobstwiecia w zapowiedziach, w znakach sakramentalnych, które Bóg nam daje. Przede wszystkim w sakramencie Chrztu świętego. Św. Paweł przypomina nam, że przez Chrzest jesteśmy członkami Chrystusa, czyli należymy do Niego, jesteśmy jakby Jego kawalkiem. Mamy udział przez to, że możemy czytać i słuchać Słowo Boże, czyli to, co Bóg mówi – jesteśmy już jakby dopuszczeni do wnętrza Jego domu. Możemy sobie tak to wyobrazić, że jeśli nie mieszkamy

z kimś, nie przebywamy z nim na co dzień, nie słyszymy jego głosu. Bóg mówi do nas przez słowa Pisma Świętego, a zatem już jesteśmy Jego domownikami, już mieszkamy z Nim pod jednym dachem i dzięki temu możemy słyszeć Jego Głos.

Ostatecznie to przeobóstwienie jest nam zapowiadane w czasie Komunii świętej. Wtedy, kiedy przyjmujemy Ciało i Krew Chrystusa. W pewnym sensie właśnie w ten sposób kończy się ta dzisiejsza Msza święta, kiedy jest modlitwa po Komunii i kapłan się modli następującymi słowami: „Wszechmogący Boże, Ty nas nasyciłeś Twoimi Darami, spełnij nasze pragnienia i zapal nas ogniem Ducha Świętego, abyśmy zajaśniali jak żywe światła przed nadchodzącym Chrystusem”. Bardzo piękny obraz. Autor, który układał tę modlitwę zapewne w VI lub VII wieku, zapewne – tak można to sobie wyobrazić – obserwował ludzi przystępujących do Komunii świętej. Wtedy, kiedy otwieramy usta jest wkładane tam Ciało i Krew Pańska, tak to wygląda – tak można sobie to wyobrazić = jak zapalenie świecy, bądź zapalenie pochodni. Człowiek, który przyjmuje Ciało i Krew Pańską cały zamienia się w ogień, światło, które świeci w oczekiwaniu na przyjście Pana w chwale.

A zatem z jednej strony już przeżywamy w pełni to, co Bóg nam obiecuje, a z drugiej strony ciągle tego oczekujemy. Przez nasze dni. Takie, jakie one są: wielkie i małe, znaczące i takie, o których szybko zapominamy. Im więcej tych dni, tym bliżej do przyjścia naszego Pana. Jeśli zatem ktoś pyta nas, na co jeszcze czekamy, odpowiadamy: Czekamy na Boga. Czekamy na Boga, który da nam udział w Swoim Boskim Życiu.

18 grudnia 2020

Jr 23, 5–8

Mt 1, 18–24

Do tej pory zastanawialiśmy się na co jeszcze czekamy. Swoją drogą w świetle tego, co do tej pory zostało powiedziane, tak się wydaje, że jest to pytanie bardzo dobre, które warto sobie zadać w rachunku sumienia. Żeby to pytanie o naszą nadzieję było ważnym probierzem naszego życia, naszego sumienia, jakości naszej chrześcijańskiej egzystencji. Ale dzisiejsza Liturgia Słowa zmusza nas, żebyśmy troszeczkę odwrócili, czy zmienili to nasze pytanie i przyrzekli się milczącemu bohaterowi dzisiejszej Ewangelii, św. Józefowi i zadali sobie pytanie: Na co czekał ten człowiek? Z Ewangelii nie wynika to wprost, więc możemy powiedzieć jedynie przez analogię do wcześniej panujących zwyczajów, że Józef w chwili, kiedy opisywane wydarzenia miały miejsce,

miał zapewne nieco mniej niż 20 lat. Matka Boża była zapewne od niego jeszcze młodsza. Mogła mieć 14, 15 lat. Zatem ludzie bardzo młodzi, którzy byli już po tym pierwszym etapie zaślubin, kiedy byli małżeństwem, ale jeszcze nie mieszkali razem. To, co było zapewne pragnieniem Józefa, na co czekał – domyślamy się, że niecierpliwie – to było zamieszkanie ze swoją nowo poślubioną żoną. To, czego domyślamy się, że chciał, to normalnej rodziny, dzieci, wspólnego życia, ujrzenia wnuków. Zawsze pragnieniem pobożnego Izraelity było, żeby zobaczyć dzieci, swoich wnuków i żeby tych dzieci było jak najwięcej. A zatem oczekiwania bardzo normalne, bardzo zwyczajne. Takie, jakie mieli wszyscy młodzi ludzie w jego czasach, zapewne w jego miasteczku, w innych miejscach, w których żył lud Izraela. I nagle to oczekiwanie Józefa zostaje poddane przez Boga bardzo bolesnej próbie. Dlatego że okazuje się nagle, że jego żona, którą zapewne bardzo kochał, okazuje się być w stanie błogosławionym. I on dobrze wie, że to nie jest jego dziecko. Myślmy często o Świętej Rodzinie przez pryzmat lukrowanych obrazków, takich bardzo idyllicznych, bardzo pobożnościowych, słodkich, aż mdlących. A dobrze, żebyśmy zobaczyli, że Święta Rodzina to jest rodzina w ogniu kryzysu. Jezus Chrystus poczynając się w łonie Maryi staje się niemalże sprawcą rozwodu, przyczyną rozstania Swojej Matki i Swojego przybranego ojca.

Ewangelia określa dzisiaj Józefa dwoma mianami. Mówi o nim jako o „człowieku sprawiedliwym” i Anioł zwraca się do niego określając go jako „syna Dawida”. I właśnie te dwa określenia, które charakteryzują tego człowieka, pomagają nam zrozumieć, w jaki sposób ten człowiek kształtował swoje pragnienia i pozwolił rosnąć swoim oczekiwaniom.

Na samym początku przyjrzyjmy się temu określeniu, które użył sam Ewangelista: „mąż sprawiedliwy”. Żebyśmy mogli zrozumieć duszę św. Józefa, jego serce, musielibyśmy przeczytać całą Księgę Psalmów. To są teksty, którymi ten człowiek – jak każdy Izraelita – się modlił, w których wyrażał swoją pobożność i w których słowo sprawiedliwość zajmuje miejsce szczególne. Sprawiedliwy jest ten, który oddaje każdemu to, co się mu należy – według klasycznej definicji. Ale według tej sprawiedliwości, która wypływa szerokim nurtem z Księgi Psalmów, jest pewna hierarchia. Na samym początku mąż sprawiedliwy oddaje wszystko Bogu, to, co się Bogu należy. I ten tekst Ewangeliczny, który dzisiaj mamy, pokazuje nam, że św. Józef również i w tym trudnym momencie swojego życia, kiedy pod znakiem zapytania stało jego małżeństwo, stanęła wierność i lojalność jego żony, stanęła cała jego

przyszłość, zachował się w sposób sprawiedliwy tzn. na samym początku zwrócił się do Pana Boga. Spróbujmy wmyśleć się w sytuację człowieka, któremu nagle zawalił się cały świat. Wmyślimy się w sytuację człowieka, który nie żyje w naszej małej, globalnej wiosce, ale na całe życie jest przywiązany do swojego miasteczka, do tych samych sąsiadów, tych samych ludzi żyjących tymi samymi plotkami, podglądających innych przez okno, mówiących w kółko o cudzych niepowodzeniach. Decyzja Józefa jest heroiczna dlatego, że w imię miłości do Boga i ochrony życia potrafi się wycofać. Nie podaje Maryi jako cudzołożnicy, ale niejako bierze winę na siebie, że to on splodził to dziecko, a teraz nie chce wziąć za nie odpowiedzialności. Jego spotka tylko ostracyzm społeczny. Maryję, gdyby podał ją do sądu, czekałaby śmierć przez ukamieniowanie. W tym swoim heroizmie Józef pozostaje wierny nie tylko Bogu, ale pozostaje wierny także swoim najgłębszym pragnieniom i swoim najgłębszym oczekiwaniom. A tym najgłębszym pragnieniem i najgłębszym oczekiwaniem było danie swojej żonie tego, co było dla niej najlepsze. I dlatego uznaje, że skoro znalazła kogoś innego – bo chyba tak musiał sobie myśleć – on się wycofa po to, żeby ona mogła żyć i aby mogło żyć dziecko.

Drugim tytułem, którym określa go już we śnie Anioł jest „syn Dawida”. Być może ten krótki komentarz do „męża sprawiedliwego” pokazuje nam, czy możemy pomyśleć, że Józef był człowiekiem sentymentalnym bądź słabym. Choć z drugiej strony pokazuje to jego siłę. Ale ten tytuł „syn Dawida” przywołuje na myśl króla-wojownika, króla, który broni swojego królestwa, wyprawia się przeciwko Filistynom, jest pełen gorliwości o chwałę Bożą. Człowiekiem, który z serca śpiewa Bogu psalmy. Człowiekiem, którego również dotykają różne próby i nieszczęścia rodzinne, który sam upada, bo przecież grzeszy z Batszebą, żoną Uriasza Chetyty. Jakby Anioł pokazuje mu: Myślisz o żonie, że cię zdradziła, a jesteś potomkiem człowieka, który sam dopuścił się zdrady małżeńskiej. Ostatecznie przez to imię wlewa w Józefa siłę, ażeby przyjął coś, co jest nieskończenie bardziej zaskakujące niż to, co mu się do tej pory wydawało. Można powiedzieć, że Józef jak się zorientował, że jego żona jest w stanie błogosławionym, to mógł sobie powiedzieć, że już nic bardziej mnie nie zaskoczy. A Anioł przekazał mu nowinę, która zaskoczyła go jeszcze bardziej, bo z jego słów i z tego tytułu „syn Dawida” – Dawidowi był obiecany Mesjasz jako potomek, jako król, który zasiądzie na jego tronie w mieście Jerozolimie – Józef słyszy, że właśnie jego żona nosi pod sercem Mesjasza i nie począł się On za sprawą mężczyzny, ale począł się z Ducha

Świętego. To były dla Józefa bardzo trudne dni. Trudne dni również dla Maryi, która poznawszy swój stan, też – domyśliamy się – nie za bardzo wiedziała, jak zakomunikować to swojemu mężowi, bo co mu miała powiedzieć... Postać św. Józefa pokazuje nam, że Bóg ma moc, ażeby nasze oczekiwania spełnić z nadatkiem. Józef dostał wszystko to, czego chciał. Chciał, żeby Maryja była jego żoną i tak się stało. Był mężem sprawiedliwym, czyli przejętym o Bożą chwałę i chcącym zrobić dla Boga wszystko, co tylko możliwe i otrzymał jedyne zadanie, jakie żaden inny mężczyzna na tym świecie nie otrzymał, a mianowicie wychowania po ludzku Syna Bożego, który się Wcielił z miłości do nas. Kiedy myślimy o tym, jaki był św. Józef też warto pomyśleć, w jaki sposób zachowywał się Jezus, jak odnosił się do kobiet chociażby. Tę delikatność i szacunek Józefa w tych gestach Jezusa możemy również dostrzec.

Myśląc o tym, na co jeszcze czekamy, dobrze, żebyśmy podnieśli wzrok w górę. Nie zamykali się tylko w tych naszych wyobrażeniach, jak nasze życie powinno wyglądać, ale żebyśmy pozwolili Panu Bogu poprowadzić się za rękę o kilka stopni wyżej. Pan Bóg nie chce nam niczego zabierać tylko te nasze pragnienia, nasze potrzeby udoskonalić tak, żeby służyły one nam, naszym bliskim i można powiedzieć nieco wzniośle – całemu Kościołowi świętemu. Myślę, że warto poświęcić się opiece św. Józefa w tych dniach, które jeszcze dzielą nas od Bożego Narodzenia. Mamy teraz jego rok, który ogłosił nam Ojciec Święty swoim pięknym listem otwierającym ten szczególny okres. Tej postaci warto się przyjrzeć, zaczerpnąć od niego tej niesamowitej wręcz elastyczności. Człowiek, który jest pełen Ducha Świętego, który dynamicznie odpowiada na potrzeby chwili zawsze zgodnie z wolą Bożą, który potrafi przewyciężyć swój lęk, bo też zapewne się boi wtedy, kiedy ucieka przed siepaczami Heroda. Człowiek, który potrafi ciężko pracować, żeby utrzymać swoją rodzinę. Człowiek, który wreszcie potrafi na jakimś etapie, w jakimś sensie, wyzbyć się swoich pragnień i oczekiwań, żeby potem od Boga otrzymać je nad wyraz hojnie – tak, jak Pana Boga określamy, że jest najhojniejszy i nigdy w obdarowaniu nas, nikomu nie da się prześcignąć. Prośmy Go o to, żeby nie uwięziły nas nasze własne pragnienia, nasze ciasne wyobrażenia o naszym życiu, ale żebyśmy tak, jak Józef potrafili wypełnić to, czego oczekuje od nas Bóg i tak, aby nasze życie było prawdziwie pobożne.

Spisala Joanna Sędek, Warszawa

LECTIO DIVINA

J 1,1–18

Będziemy czytać Prolog Janowy, tekst oczywiście bardzo dobrze znany. Niech on będzie dla nas pomostem między tym, co było mówione o Adwencie w sensie eschatologicznym, czyli o oczekiwaniu spodziewanego powrotu Chrystusa na końcu czasów, a tym drugim sensem Adwentu, czyli oczekiwaniem na narodziny Pana Jezusa w Betlejem. Prolog Janowy jest w tym momencie historii ludzkości, w którym Bóg narodził się na Ziemi jako człowiek.

- 1** ¹ Na początku było Słowo,
a Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.
² Ono było na początku u Boga.
³ Wszystko przez Nie się stało, a, bez Niego nic się nie stało,
[z tego], co się stało.
⁴ W Nim było życie,
a życie było światłością ludzi,
⁵ a światłość w ciemności świeci
i ciemność jej nie ogarnęła.
⁶ Pojawił się człowiek posłany przez Boga –
Jan mu było na imię.
⁷ Przyszedł on na świadectwo,
aby zaświadczyć o światłości,
by wszyscy uwierzyli przez niego.
⁸ Nie był on światłością,
lecz [został posłany], aby zaświadczyć o światłości.
⁹ Była światłość prawdziwa,
która oświeca każdego człowieka,
gdy na świat przychodzi.
¹⁰ Na świecie było [Słowo],
a świat stał się przez Nie,
lecz świat Go nie poznał.

¹¹ przyszło do swojej własności
a swoi Go nie przyjęli.

¹² Wszystkim tym jednak, którzy Je przyjęli,
dało moc, aby się stali dziećmi Bożymi,
tym, którzy wierzą w imię Jego –

¹³ którzy ani z krwi,
ani z żądzy ciała,
ani z woli męża,
ale z Boga się narodzili.

¹⁴ A Słowo stało się ciałem
i zamieszkało wśród nas.
I oglądaliśmy Jego chwałę,
chwałę, jaką Jednorodzony otrzymuje od Ojca,
pełen łaski i prawdy.

¹⁵ Jan daje o Nim świadectwo i głośno woła w słowach: «Ten był, o którym powiedziałem: Ten, który po mnie idzie, przewyższył mnie godnością, gdyż był wcześniej ode mnie». ¹⁶ Z Jego pełności wszyscyśmy otrzymali – łaskę po łasce. ¹⁷ Podczas gdy Prawo zostało dane za pośrednictwem Mojżesza, łaska i prawda przyszły przez Jezusa Chrystusa. ¹⁸ Boga nikt nigdy nie widział; ten Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] pouczył. (J 1,1–18)

Wiemy, że za wyrazem „słowo” kryje się grecki wyraz *logos*, który można rozumieć różnorako. Tutaj tłumacze konsekwentnie trzymają się tego wyrażenia „Słowo”. Nie wchodząc z tym w dyskusję, widzimy, że jest tu coś z semickiej mentalności. W całym Piśmie Świętym, poczynając od Księgi Rodzaju, jest ta logika, że Pan Bóg stwarza swoim słowem. Więc w tym, co napisano w Prologu, mianowicie:

Na początku było Słowo,
a Słowo było u Boga,
i Bogiem było Słowo.

² Ono było na początku u Boga.

³ Wszystko przez Nie się stało, a, bez Niego nic się nie stało,
[z tego], co się stało.

— w tym zachowana jest spójność z wszystkimi innymi poprzednimi Księgami Pisma Świętego. Pan Bóg stwarza słowem, Jego słowo jest stwórcze, przez nie wszystko się dzieje. Słowo ma ten walor, że jest czymś, co objawia,

bo niesie ze sobą znaczenie. Gdybyśmy w miejsce słowa użyli wyrazu „umysł” lub „pojęcie”, byłoby to niezręczne, nie miałyby tego waloru. Słowem każdy z nas się posługuje, żeby komuś innemu przekazać jakąś informację, jakąś wiedzę. I w tym właśnie sensie Pan Bóg coś o sobie objawia, posyłając na ziemię swojego Syna, pozwalając Słowu się wcielić. Znana jest myśl św. Jana od Krzyża, że Bóg wypowiedział swoje Słowo i nie ma już nic więcej do powiedzenia, ponieważ w swoim Słowie, czyli w Jezusie Chrystusie, powiedział absolutnie wszystko.

Często toczy się dyskusję wokół wyrażenia *a Słowo było u Boga*, które podkreśla, że Syn jest zrodzony z Ojca i że to zrodzenie jest przedwieczne, czyli jeszcze przed czasem. Czasami wydobywa się fakt, że użyte są słowa *pros ton Theon*, które można tłumaczyć: był On skierowany *ku Bogu*. Lubię wracać do tego, bo być może kryje się w tym głęboka prawda na temat Syna Bożego w odniesieniu do Jego Ojca, mianowicie że Chrystus jest całkowicie skierowany ku swojemu Ojcu. Wszystko, co Chrystus robi i co jest treścią Jego ludzkiego i boskiego życia, kieruje się ku Ojcu.

W Nowej Hucie, w kościele Arki Pana, jest krzyż sporych rozmiarów, na którym Chrystus, chociaż przybity gwoździami, całym sobą wyrwa się w przód. To jest bardzo rzadka wizja Ukrzyżowanego, który ani nie zwisa bezwładnie, ani też nie jest uwielbiony w chwale, uwolniony od gwoździ. To jest Chrystus, który jest przybity do Krzyża, ale całym ciałem wyrwa się ku Ojcu. Owszem, przyjmuje rany, które Mu zadano, ale całym sobą pokazuje, że przez to wszystko wypełnia wolę Ojca. Nie ma w Nim nic, co nie byłoby skierowane ku Ojcu. Ten krzyż robi głębokie wrażenie – taki jest Chrystus.

To jest Ewangelia Janowa, więc ta myśl wprowadza nam późniejszą myśl Jana, która pojawia się w rozdziale 6., gdzie Chrystus mówi o tych, którzy spożywają Jego Ciało i piją Jego Krew. Pan Jezus mówi: *Kto spożywa moje Ciało i Krew moją pije, trwa we Mnie, a Ja w nim. Jak Mnie posłał żyjący Ojciec, a Ja żyję przez Ojca, tak i ten, kto Mnie spożywa, będzie żył przez Mnie. (...) Kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Kto spożywa Ciało i Krew Jezusa, żyje przez Niego, więc jeżeli w Jezusie nie ma nic, co nie byłoby ukierunkowane ku Ojcu, to tym samym ma się charakteryzować chrześcijanin. Nic w nas nie powinno być odwrócone od Chrystusa. To też było podkreślane przy czytaniu Listu do Efezjan, że wszystko, co wydarza się w życiu duchowym, jest kwestią tego, czy jesteśmy z Chrystusem, czy jesteśmy daleko od Niego.*

O światłości oświecającej każdego człowieka też była mowa w poprzednim *lectio divina*, kiedy mówiłem o wewnętrznym człowieku, o którym pisze św. Paweł. Jest szersze pole do interpretacji, jeżeli chodzi o tamto pojęcie, ale jest jedna rzecz, którą musimy zachować. Istnieje jakieś podobieństwo, jakieś pokrewieństwo pomiędzy Bogiem i Jego stworzeniem. Z tym nigdy nie można pójść za daleko i nie można wynieść tego podobieństwa zbyt wysoko. Ostatecznie nasza sytuacja stała się taka, że Pan Bóg postanowił wydobyć nas z tej kondycji, posyłając swojego Syna. Nie myślmy o sobie za wysoko, ale miejmy w głowie też to, co jest w Księdze Rodzaju: że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Miejmy w głowie to, co pojawia się teraz w Prologu Janowym: że każdego człowieka, kiedy on przychodzi na świat, oświeca światłość Boża.

Obraz i podobieństwo Boże Ojcowie Kościoła konsekwentnie komentowali jako przenośnie opisujące rozum i wolę człowieka, czyli te dwie władze, które łączą człowieka z Bogiem. Pan Bóg ma rozum i człowiek ma rozum; Pan Bóg ma wolę i człowiek ma wolę. Bardzo dużo ludzi rozumie słowo „wola” jako silną wolę, a to nie jest to samo. Wola to nasza zdolność do chcenia, czyli gdy coś wybieram, to używam woli. Jeżeli ktoś czytał *Listy o modlitwie* Chapmana, to widzi, że u Chapmana modlitwa opiera się na woli. Nie na rozumie, czyli na poznaniu — na tym, że ja poznaję coraz to nowe prawdy na temat Pana Boga — ale na woli, czyli na tym, że ja konsekwentnie Pana Boga chcę i Go wybieram.

Ten podział na rozum i wolę, czyli na dwie władze człowieka, które świadczą o pokrewieństwie między człowiekiem i Bogiem, to taka złota nić, którą można prześledzić przez wszystkie wieki Kościoła. Nawet wczoraj, kiedy czytałem na Wigiliach kazanie błogosławionego Izaaka, opata klasztoru w Stelli, pod koniec pojawia się myśl, która mówi o tym, że Chrystusa mamy w sobie przez miłość i poznanie. To nie są jakieś losowe słowa, które Izaak rzuca ot tak; on bardzo świadomie je wypowiada – miłość i poznanie, bo kocha się przez wolę, a poznaje się przez rozum. Znajdziemy to u każdego autora przez setki lat myśli teologicznej – jest rozum i wola, jest poznanie i miłość. To nas łączy z Panem Bogiem.

Oczywiście Jego rozum i nasz rozum — to przepaść niewyobrażalna; Jego wola i nasza wola to jest zupełnie co innego. Ojcowie Kościoła tego się trzymali, mówiąc, że obraz to jest rozum. Rozum jest niezatarty, każdy go ma. Mówimy wprawdzie na co dzień, że ktoś ma mniej lub więcej rozumu, ale

mamy wtedy na myśli rozsądek. Rozum to jest statyczna władza, to jest wyciąganie wniosków z przesłanek. Wolę Ojcowie Kościoła utożsamiali z podobieństwem, bo ono jest dynamiczne, może się zmieniać; można być mniej lub bardziej podobnym — inaczej niż obraz, który jest lub którego nie ma. Tak samo wola może być lepiej albo gorzej zjednoczona z Panem Bogiem.

W Prologu jest ta myśl, że wiele nas łączy z Panem Bogiem. Ale pamiętajmy, że nie byłoby Wcielenia, gdyby tak bardzo dużo nas od Niego nie oddzielało i gdyby nie musiał On tej przepaści między nami w ten sposób zasypać.

Wszystko przez Nie się stało oznacza, że wszystko, co zostało stworzone, pozostaje w ukrytej relacji do Chrystusa. Przypomnijmy sobie o tym, co mówiliśmy o Wysokości, Szerokości, Głębokości i Długości, że chrześcijanin, który rozgląda się we wszystkie strony świata, powinien sobie przypominać, iż to, na co patrzy, w jakiś sposób odnosi się do Boga, który to wszystko stworzył. Zbawienie, które przynosi Chrystus, jest dla wszystkich ludzi, dla całego świata. Tutaj dochodzi nowa myśl, że wszystko, co jest na świecie, zostało stworzone przez Chrystusa. Jest cała dyskusja wokół tego: czy zostało stworzone jako skutek czy inaczej, że to Słowo Boże, czyli Syn, było wzorem dla stworzenia. Zostawiamy to na boku i tylko uświadamiamy sobie, że wszystko, co nas otacza, mówi nam o Panu Bogu.

Tę myśl św. Paweł wydobędzie w Liście do Rzymian w pierwszym rozdziale, kiedy pisze, że Pana Boga da się poznać na podstawie rzeczy stworzonych. Dla naszego Kościoła stało się to podstawą dogmatu: da się poznać, że Bóg jest tylko dzięki rozumowi, który obserwuje rzeczy stworzone. Święty Paweł wprost mówi o tym, że ludzie, którzy tego nie widzą, są głupi (zob. Rz 1,22). Miejmy to na uwadze, że pierwszym krokiem na drodze człowieka do poznania Boga może być uświadomienie sobie, iż wszystko nam o Nim mówi, bo zostało przez Niego stworzone.

Pamiętam, że jak zdawałem egzamin z teologii dogmatycznej u oo. Dominikanów, użyłem sformułowania „Pan Bóg stworzył świat”. Egzaminator był bardzo surowy, powiedział, że ściępi to stwierdzenie tylko dlatego, że jeszcze nie miałem wykładu o teologii stworzenia, ale poprawnie należy powiedzieć: „Pan Bóg **stwarza** świat”, zawsze go stwarza i wtedy wygłosił mi naukę dłuższą — z której chętnie skorzystałem, bo nie byłem bardzo dobrze przygotowany do egzaminu — na temat tego, że nie ma takiego momentu w naszej rzeczywistości, w naszym czasie, kiedy uwaga Pana Boga nie jest skierowana ku Jego stworzeniu. Teoretycznie gdyby Pan Bóg zapomniał

o tym, że ktoś z nas jest, to ten ktoś zniknąłby. Tym, co podtrzymuje wszystko w istnieniu, jest sam Pan Bóg; to, że ma ku nam skierowaną swoją uwagę. Dlatego w każdym momencie wszystko jest stwarzane. Zawsze Pan Bóg kieruje się ku nam i podtrzymuje nas w istnieniu.

Jeżeli przez Słowo wszystko się stało, to oznacza, że pewne błędy trzeba wykluczyć. Prolog Janowy powstaje wtedy, kiedy tworzą się różne herezje w rodzaju gnostycyzmu, który głosi, że świat materialny jest skutkiem działania jakiegoś złego bóstwa, demiurga, że to co materialne jest zawsze wewnętrznie złe. To jest ogromny krok, który robi chrześcijaństwo, przez ten Prolog Janowy. Przez niego powiedziane jest, że wszystko, co materialne, zostało stworzone przez Chrystusa. Więc nic z tego, co jest materialne, nie jest samo w sobie złe. To stanie się podstawą dla św. Piotra, żeby przestać uważać za nieczyste rzeczy, które Bóg stworzył. Wszystko samo z siebie jest dobre, bo pochodzi od Boga, a co my z tym zrobimy, to jest już inna sprawa.

Jest pewna dychotomia, o czym wczoraj mówiłem. Z Listu do Diogneta wynuliśmy tę myśl, że chrześcijanin jest przybyszem na świecie i że chociaż chrześcijanie mieszkają w różnych ojczyznach, to ich prawdziwa ojczyzna jest w niebie. Z drugiej strony mówimy, że cały świat jest stworzony przez Boga i wszystko o Bogu świadczy. To jest takie napięcie, którego wcale nie musimy niwelować. Pamiętajmy o jednym i o drugim. Wszystko nam mówi o Panu Bogu, ale i tak nasza ojczyzna i pełnia naszego życia jest w niebie. Nie musimy rezygnować ani z jednego, ani z drugiego.

Niedawno czytałem książkę biskupa Rysia o św. Franciszku. Jest fenomenalna, przeczytałem w jeden dzień. Jest też bardzo oddziałująca na zmysły, bo jest w niej mnóstwo zdjęć miejsc, w których św. Franciszek żył. Ale myśl, którą wyniosłem z tej książki, to teologia, jaką miał św. Franciszek. Często przedstawia się go jako sympatycznego półglówka, który przemawiał do ptaszków, do wilków i tak się bawił ze zwierzętami, podczas gdy to wszystko, co robił wobec zwierząt, ma ten sens: **wszystko zostało stworzone przez Boga i zadaniem człowieka jest znów to, co stworzone, odnieść do Boga.** Jak św. Franciszek głosi kazanie do ptaków, to jest to sygnał dla wszystkich ludzi wokół niego, że te ptaki są stworzone przez Boga i znów się do Niego odnoszą; one tu teraz są, bo On tego chce, On udziela im istnienia, a nie zostały odseparowane od Bożej opatrności przez akt stworzenia. Tu jest sedno chrześcijańskiej ekologii. Dostaliśmy świat, którym mamy się zao-piekować nie po to, żeby go niszczyć, nie żeby za wszelką cenę ratować jakiś jeden gatunek kosztem istnienia człowieka. Trzeba znaleźć coś pośredku,

czyli oddać Panu Bogu to, co On sam stworzył. To do Niego trzeba wszystko odnieść.

Prolog mówi o tym, że dostaliśmy moc, żeby stać się dziećmi Bożymi i o tym, że narodziliśmy się z Boga. Ta bardzo ważna myśl często nam umyka – cały Nowy Testament mówi nam o chrześcijanach jako o przybranych dzieciach Bożych. Jest pewna rysa, która nigdy nie zniknie między nami a Panem Bogiem. Człowiek został powołany do jedności z Bogiem jak Adam i Ewa, ale tę jedność utracił i dopiero Wcielenie Syna Bożego znów do tej jedności ludzkość przywraca. My jesteśmy dziećmi Bożymi tylko dlatego, że otrzymaliśmy chrzest, zostaliśmy zanurzeni w śmierć Chrystusa i mamy udział w Nim samym, w Jego Ciele. Dlatego jesteśmy dziećmi Bożymi, bo On jest Synem i przez Niego mamy to dziecięstwo Boże.

Św. Jan pisze w swym Prologu bardzo radykalnie, że prawdziwe narodziny człowieka to są narodziny z Boga. Pisze o tych, którzy nie narodzili się z krwi. Przecież wszyscy narodziliśmy się z krwi w tym sensie, że urodziliśmy się cieleśnie, a dla św. Jana akcent pada na narodzenie się z Boga. Klamka naszego kościoła jest w kształcie ryby i często mówię oprowadzanym wy-cieczkom, że to jest starożytny symbol chrześcijaństwa, bo greckie słowo ryba – ΙΧΘΥΣ rozwija się w zdanie – Jezus Chrystus Syn Boga Żywego. Ale wcześniejszą myślą jest to, że chrześcijanie są jak ryby, to znaczy jak ryby rodzą się w wodzie, bo rodzą się przez chrzest. To jest prawdziwy moment narodzenia. Moment narodzenia, który jest momentem śmierci — taka jest teologia św. Pawła. W Liście do Rzymian mówi, że wszyscy zostaliśmy zanurzeni (po grecku to jest to samo słowo co ochrzczeni – chrzcić i zanurzać to *baptizō*) w śmierć Chrystusa. Na tym opiera się teologia św. Pawła bycia wolnym od prawa żydowskiego, bo kto jest wolny od prawa? Ten, kto umarł, jego prawo przecież nie obowiązuje. W Polsce i w każdym innym kraju tak jest. Jeżeli umieramy, to prawo nas nie obowiązuje, i Paweł pisze, że umarliśmy wszyscy przez chrzest, który otrzymaliśmy w Chrystusie, dlatego jesteśmy wolni od prawa.

A Słowo stało się ciałem – na ten temat dużo się mówi, im bliżej jest Boże Narodzenie. Greckie słowo *sarks* (σαρκ) użyte w tym miejscu oznacza ciało w sensie bardzo fizycznym. Można w greckich tekstach odnaleźć zdania, w których to słowo odnosi się do mięśni, do mięsa. Jest to coś bardzo namacalnego, a to znaczy, że Prolog idzie bardzo daleko. Bóg stał się ciałem, człowiekiem tak mocno, jak tylko się da, by nie mieć udziału w grzechu. Chrystus nie ma udziału w grzechu i w skutkach grzechu pierworodnego, ale we

wszystkim innym, co jest właściwe człowiekowi, co jest cielesne, Chrystus udział ma. I Chrystus stał się ciałem w tym sensie.

Każdy z nas doświadcza sprzeczności w sobie samym. To co mówi św. Paweł: Któż mnie wyzwolił z ciała dążącego ku śmierci? (por. Rz 7,24) Jest dobro, którego chcę, i zło, którego nie chcę, ale wybieram zło. Są we mnie sprzeczne dążenia. Jest we mnie pragnienie dobra, które mam dzięki temu, że jestem stworzony na Boże podobieństwo, i jest we mnie żądza czynienia zła, która jest skutkiem grzechu pierworodnego. Jedno i drugie jest w człowieku, i tak powinniśmy czytać to, co o ciele i duszy zostało napisane w „Liście do Diogneta”.

Zwróćmy uwagę, że jeżeli autor listu rysuje analogię między duszą a chrześcijanami w świecie, to nadal tak jest. Rolą chrześcijanina jest, aby przypominać, że zmysłowa przyjemność nie jest absolutem. Wielkim zadaniem chrześcijanina jest przypomnienie, że moim celem nie jest robienie wszystkiego, co chcę. To, że chcesz, jeszcze nie świadczy o tym, że taki jesteś, że to jest twoja tożsamość. To zabrzmiało jak gderanie, słyszałem to wiele razy z ambony: są ci, co mówią „róbta co chceta”, a tak nie wolno. Trochę tak jest, że świat nam mówi: „wszystko czego pragniesz powinno być dozwolone, bo to jest coś szczerego”. A chrześcijanin mówi NIE. To, co jest szczerze na mój temat, dopiero się ujawni w mojej relacji z Chrystusem. Dopiero światło, które przynosi Słowo Chrystusa, pokaże mi, kim jestem. Dopiero wtedy będę wiedział, czego chcę, a to jest droga, a nie jeden moment, kiedy tego akurat doświadczam.

Prolog Janowy mówi wyraźnie, że nie widzieliśmy nigdy Boga, ale daje też wyraźnie do zrozumienia, że to Jezus jest Tym, który o Bogu poucza, że ten, kto widział Jezusa, widział też Ojca. W naszej kaplicy na Opatówce niedawno zawiesiliśmy nad mozaiką, która przedstawia Chrystusa na tronie, ikonę przedstawiającą mandylion, czyli wizerunek nie ręką ludzką uczyniony, przedstawiający twarz Chrystusa odbitą na welonie św. Weroniki. Po wejściu do kaplicy ktoś może czuć się zdezorientowany, bo na wprost jest Chrystus na tronie, po prawej stronie jest Chrystus z Księżą na dużej ikonie, na tabernakulum jest wizerunek Baranka i nad tym wszystkim jest jeszcze ten mały mandylion. Można by pomyśleć, że wystarczy Pana Jezusa w tej kaplicy, czemu jest Go tak strasznie dużo? Ale Mandylion kazał nam umieścić, nie znosząc sprzeciwu, o. Bernard z Jerozolimy, którego niektórzy z was poznali. On na teologii ikony zna się bardzo dobrze. Kazał nam to zrobić, mówiąc, że to

musi być, bo to nam przypomina, iż Bóg dał nam się widzieć na ziemi przez siebie współczesnych, tych którzy Go mieli okazję fizycznie zobaczyć. Jest tradycja, że zostawił swój wizerunek odbity na płótnie i dlatego jeżeli my Go wyobrażamy, to nie robimy niczego złego, tylko wręcz wypełniamy Jego wolę. Jeżeli ktoś ma ikonę w domu, to niech nie czuje się potępiony. Pan Jezus dał się widzieć na ziemi i stając z Nim twarzą w twarz, możemy się przenieść do tamtych czasów. Taka była Jego wola – stać się bliskim człowiekowi. Nie ma w tym niczego złego, kiedy stajemy się Mu bliscy, gdy modlimy się przed ikoną.

Spisała Teresa Lubowiecka, Kraków



POŻEGNANIE O. WŁODZIMIERZA ZATORSKIEGO OSB

Ostatni raz byłam w Tyńcu podczas lutowego dnia skupienia, a potem zaplanował wszechobecny wirus w koronie i najpierw kwarantanna nas wszystkich, a potem moja osobista, a jeszcze bardziej lęk przed zarażeniem „uwięzili” mnie w domu. Ojciec Włodzimierz był odporny na lęk, wędrował z posługą słowa po całej Polsce, a kiedy wreszcie dotarł do Tyńca na coroczne rekolekcje mnichów padł ofiarą Covid-19. Nie pomogły zabiegi lekarzy, aparatura medyczna, gorące modły, woła Boża była inna. Ojciec najwyraźniej wykonał swój plan zajęć i 28 grudnia odszedł do domu Ojca.

W Mszy św. na kanale YouTube uczestniczyło co najmniej 310 osób (to liczba wyświetleń, a przecież mogły to być rodziny), to ci którzy uszanowali prośbę ojca Opata i mimo potrzeby serca pozostali w domach.



Wieloletnia współpraca i przyjaźń przemogły moje lęki i na Mszę św. żalobną stawiałam się osobiście. Troskliwi Ojcowie pozwolili mi uczestniczyć w niej w przedchórze czyli w miejscu wejścia z krążganków do prezbiterium

tuż obok ołtarza i miejsca scholi. Widziałam głównego celebransa czyli abp. Grzegorza Rysia jak rozpoczynał Eucharystię i na końcu. Byłam szczęśliwa i wdzięczna o. Włodzimierzowi, że byłam w prawdziwym kościele, że przyjął sakramentalnie, a nie tylko duchowo Komunię św. To, że nie widziałam ołtarza głównego, na którym sprawowano ucztę i z powodu pogłosu nie rozumiałam, co mówione jest z ambony, to było mniej ważne. Na zakończenie usłyszałam kobiecy szloch, rzecz niespotykaną dotąd podczas Mszy pogrzebowych w Tyńcu.



Na cmentarz już Ojca nie odprowadziłam, bo reżim choroby domagał się powrotu do domu. Od czego jednak telewizja tyniecka. Wysłuchałam pięknej homilii abp Rysia i pożegnania Marysi Rochowicz.

W homilii jak zwykle abp oparł się na czytaniach jako *lectio divina*, którym Bóg czyta nasze życie poprzez życie Ojca Włodzimierza. To co do nas przemówiło zamknąć można w trzech kluczach.

Pierwszy klucz związany z powtarzającym się w pierwszym czytaniu słowem „trwać”. Trwa w nas to, co usłyszeliśmy, zatrzymujemy przez to Boga w sobie i temu był wierny przez całe życie o. Włodzimierz.

Drugi klucz to postać Jana Chrzciciela głos na służbie słowa. Tu arcybiskup między innymi przypomniał działalność podziemną zmarłego, jak przemycal książki przez granicę z szacunku dla wolnego słowa, i odpokutował to w czasach komunistycznych więzieniem.

Trzecim kluczem jest pokora dzięki, której wchodzimy w relację z Synem, a kto zna Syna ten ma Ojca. Kiedy pamiętamy kim jest Jezus, to Jego stawiamy na pierwszym miejscu nie siebie i o tym zawsze pamiętał w swoim życiu o. Włodzimierz.

Cały tekst homilii umieścimy w przygotowywanym zeszycie wspomnień, Marysia swoje pożegnanie też w nim umieści.



Ojciec spoczął wśród poprzedzających go braci, przyniesiony na ramionach braci, którzy go żegnali. Zapalone lampki będą płonąć długo, zwłaszcza, że wielu z tych, którzy nie uczestniczyli w uroczystościach obiecało odwiedzać ojca już nie w opactwie, tylko na miejscu spoczynku.

Teresa Lubowiecka

Fotografował br. Borys Kotowski

ŻYCIE TOCZY SIĘ DALEJ

Dnia 12. stycznia 2021 r, w zaśnieżony wieczór, przybył z Tyńca do Olsztyna Ojciec Konrad Malys. Następnego dnia rano o godz. 7:00 dołączył, w Katedrze Olsztyńskiej pod wezwaniem św. Jakuba, do koncelebry Mszy Świętej. Wybrzmiała intencja: „O Boże błogosławieństwo dla kontynuacji rozpoczętego przez Śp. o. Włodzimierza dzieła Fundacja Opcja Benedykta”.



Po Mszy Świętej, podczas śniadania, które przerodziło się w spotkanie, rozmawialiśmy w gronie kilku osób o różnych aktualnych sprawach. Zaplanowaliśmy w weekend 19/21 lutego w Rybakach, w nowej formie rekolekcje, które nazwaliśmy „Warsztaty życia w benedyktyńskim rytmie”. W programie dnia powinien znaleźć się czas na modlitwę, pracę, wyciszenie i rekreację.

Sprzyjać temu powinien piękny ośrodek, kierowany przez Ks. Dariusza Sonaka i cudowna przyroda wokół. Podczas tych dni będą mieli okazję poznać się ludzie, którzy są zaangażowani w różny sposób w ramach Fundacji,

a którzy znajdują się najczęściej tylko z korespondencji mailowej, kontaktów telefonicznych lub ze spotkań na zoomie.

Jednodniowy pobyt o. Konrada w Olsztynie, który przyjechał, aby przedstawić się naszemu Arcybiskupowi Józefowi Górzyńskiemu i przekazać stanowisko Opata Tynieckiego, był bardzo bogaty, przepelniony serdecznością i zrozumieniem. O. Konrad Małys został oddelegowany na okres roku, jako asystent duchowy Fundacji. Towarzyszyłam Ojcu podczas nawiedzenia Kurii Biskupiej i mieliśmy szczęście zastać w tym dniu i zostać przyjęci jeszcze przez Abpa Edmunda Piszczka i Biskupa Janusza Ostrowskiego. Ponadto pozwoliłam sobie przedstawić Ojca i wzajemnie: Ks. Tadeuszowi Marcinkowskiemu, kanclerzowi Kurii oraz Ks. Michałowi Tunkiewiczowi, dyrektorowi Wydziału Duszpasterskiego (który opiekuje się Centrum Duszpasterskim przy ul. Kopernika, gdzie ma swoją przystań Benedictus).



W drodze powrotnej do Tyńca, o. Konrad przeprowadził wizję lokalną Ośrodka w Rybakach.

Kończąc, kieruję modlitwę do Pana Boga: NIECH NAM WSZYSTKIM BŁOGOSŁAWI I NIECH NAS PROWADZI!

Barbara Marszałek.

Fotografowała Barbara Marszałek

**PROGRAM SPOTKANIA W OLSZTYNIE
W CENTRUM DUSZPASTERSKIM (UL. KOPERNIKA 47)
PONIEDZIAŁEK 1 II 2021**

- 16:00 – ROZPOCZĘCIE COMIESIĘCZNEGO SPOTKANIA WSPÓLNOTY „BENEDICTUS” – Bądź szczęśliwy!
- uroczyste zapalenie świecy - symbolu obecności wśród nas Chrystusa
 - wezwanie do Ducha Świętego
 - 10 min. Modlitwy Jezusowej
 - Nieszpory
 - Lectio Divina (J 1,1–18))
 - Dzielenie się i umacnianie Słowem Bożym
 - Sprawy bieżące Wspólnoty
 - Eucharystia w Kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa

**DZIEŃ SKUPIENIA W TYŃCU
SOBOTA 27 II 2021**

- 09.00 – Spotkanie Nowicjuszy z br. Antonim Leńczowskim OSB
- 10.00 – Msza święta celebrowana przez o. Tomasza Dąbka OSB, a po Mszy świętej Adoracja Najświętszego Sakramentu w kościele
- 11.15 – Konferencja z br. Antonim Leńczowskim OSB w Sali Petrus
- 11.45 – Przerwa na kawę
- 12.50 – Modlitwa w ciągu dnia z mnichami w kościele
- 13.00 – Obiad
- 14.00 – Lectio Divina z br. Antonim Leńczowskim OSB i sprawy organizacyjne w Sali Petrus
- Spotkanie w systemie hybrydowym dzięki ofiarności Ryszarda Kołodzieja.

WARSZAWSKIE SPOTKANIA BENEDYKTYŃSKIE

Temat:

Rozdział VI Reguły, O cnocie milczenia – czy aktualny także dziś?
(o. Opat Szymon Hiżycki OSB)

27. lutego w sobotę kościoł ss. sakramentek na Rynku Nowego Miasta:

- 9.00 Msza św. z homilią
Ok. 9.45 Adoracja Najświętszego Sakramentu
10.00 Konferencja tematyczna
10.45 Spotkanie w salce zakończone Modlitwą w ciągu dnia
z Liturgii Godzin

KALENDARIUM

- 1 II Spotkanie grupy Benedictus w Olsztynie
2 II *Święto Ofiarowania Pańskiego*
10 II *Św. Scholastyki*
14 II *Świętych Cyryla i Metodego*
17 II *Popielec*
19–21 II Warsztaty życia w benedyktyńskim rytmie w Rybakach
25 II Spotkanie formacyjne oblatów klasztoru Benedyktyniek Sakramentek w Warszawie poprowadzi o. Opat Szymon Hiżycki OSB.
27 II Dzień skupienia oblatów w Tyńcu
27 II Benedyktyńskie Spotkania w Warszawie – *Rozdział VI Reguły, O cnocie milczenia – czy aktualny także dziś?*
(o. Opat Szymon Hiżycki OSB)

Aktualne konto oblackie:

42 85910007 0210 0411 8262 0005

Krakowski Bank Spółdzielczy

Posiadacz rachunku: Opactwo Benedyktynów w Tyńcu

